Cena 40 gr.

PO KONFISKACIE NAKŁAD DRUGI

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

16 maja 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 29 (28).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

NASZA ANKIETA

P. Bolesław Koskowski odgrywa tę samą rolę w publicystyce polskiej, co słońce w regulacji czasu. Jest ścisły i bezstronny. Dla gorączkujących się idzie zbyt wolno, dla gnuśnych posuwa się zbyt prędko, a w rzeczywistości wiernie odmierza rytm prawdy. Jest wielki i jasny.

REDAKCJA.

BOLESŁAW KOSKOWSKI

Polska na fundamencie chrześcijańskim

Znawcy naszego życia politycznego dali już w toku ankiety Odnowy wszechstronną djagnozę obecnego stanu rzeczy w Polsce. Nic tu nie może dodać ten, kto nie chce powtarzać prawd już ustalonych.

Pozostało drugie pytanie ankiety, dotyczące „metod i reform, które należałoby wprowadzić dla wyzwolenia maksymalnej energji państwa“. Teraz wchodzimy in medias res wielkiego zagadnienia narodowego: organizacji politycznej państwa.

Co mamy na myśli, mówiąc o maksymalnej energji państwa? Jest to maksymalny wysiłek składających je jednostek. Gatunek obywateli, — ich ogółu, a conajmniej ich domniemanie wyborowej części: powstałej w sposób naturalny i samorodny elity, — determinuje wartość działalności państwa.

A zatem w ostatniej instancji wszystko zależy od człowieka. Instytucje publiczne muszą się dostosować do tego punktu wyjścia.

Tak się też dzieje wszędzie, gdzie panuje jakakolwiek myśl państwowa. Również i zwolennicy dyktatury komunistycznej, faszystowskiej, czy hitlerowskiej, lubo nie wierzą w wartość moralną człowieka, pracują jednak nad zdobyciem dusz obywateli, przyczem walczą nadewszystko z Kościołem, samą religją i z wyobrażeniami demokratycznemi.

Jedni nie mając, jak się rzekło, żadnego zaufania do wartości człowieka, i nie żywiąc żadnego szacunku dla jego godności, a natomiast oddając się mistycznemu kultowi państwa, mimo wszystko pragną tworzyć sobie narzędzie powolne, a więc, wychowywać człowieka pod przymusem państwowym i w cieplarni policyjnej. Inni zaś, pragnąc, przeciwnie, podnieść wartości i rolę jednostki, dążą do wychowywania młodzieży przez Kościół, rodzinę i dobre szkoły, a do wychowania obywatela przez jego udział w życiu publicznem, wyrabiającem osobiste doświadczenie, poczucie odpowiedzialności i własny sąd o rzeczach.

Dwa te światopoglądy i obozy polityczne stanęły w chwili obecnej naprzeciwko siebie w nastroju bardzo wrogim i bez żadnych planów kompromisowych.

Dzisiejszemu pokoleniu wyrósł w ten sposób potężny obowiązek wyboru.

Zapewne nigdy jeszcze dotychczas ludzkość nie patrzyła temu obowiązkowi tak bardzo oko w oko.

Alternatywa jest, w naszych oczach, następująca: jak połączyć wolność obywatelską z autorytetem władzy państwowej? Jak pogodzić inicjatywę prywatną z powiększoną w świecie współczesnym w sposób naturalny rolą państwa? Jak hołdować liberalizmowi gospodarczemu, a zarazem w imię interesów państwowych nie sprzeciwiać się słusznym jego ograniczeniom? Jak zharmonizować prawowitą troskę państwa o wychowanie z prawami w tej mierze i obowiązkami Kościoła, rodziny, wolnej inicjatywy społecznej?

Słowem: jak zabezpieczyć maksimum wolności indywidualnych i zarazem maksimum dyscypliny państwowej?

Wiecznie jest młody ten arcystary problemat. Rozwiązany w jednem miejscu na poły, w drugiem prawie w całości, gdzieindziej wywołujący wielkie rewolucyjne przesilenie, stanął on prawie wszędzie pod większym lub mniejszym ogniem krytycznym. Co uczynimy z nim w Polsce?

Można wskazywać różne drogi wyjścia praktycznego. Paweł mówi: „Ach, cóż prostszego! Trzymajmy się tylko drogi ewolucyjnej, tej, po której zmierzał nasz ustrój polityczny do chwili przewrotu majowego. Piotr szuka w czystej doktrynie demokratycznej ostatecznego rozwiązania, wyrzucając opozycji, że skłócona i dlatego bezładna, tylko wzmacnia istniejący régime, jako arbitra sytuacji. Jan, obawiając się, jak ognia, wszelkiej perspektywy przejść gwałtowniejszych, już rozmyśla o syntezie konstytucji marcowej i konstytucji kwietniowej.

Nie lekceważymy żadnego z tych wskazań, zawierających jądra prawdy, wszelako coś innego musi zapanować nad niemi. Polska musi się zdecydować na szczere, zupełne, formalne i uroczyste uznanie się za państwo chrześcijańskie, rządzące się zasadami głoszonemi w moralności i w polityce przez Kościół Katolicki.

W walce między dwoma totalizmami, komunistycznym i hitlerowskim, jest takie tylko pewne i bezpieczne oparcie. I w niem jest tylko możność skutecznej reakcji na grożące Polsce oraz samej cywilizacji chrześcijańskiej hasła „totalne".

Oparcie się państwa na poszanowaniu człowieka, jego misji doczesnej, jego duszy nieśmiertelnej; ugruntowana na tem wiara w naród; uznanie prawd religijnych i moralnych, jako rządzących światem; wyrzeczenie się wszelkiego despotyzmu i idolatrji państwowej — oto warunki wyjścia z chaosu oraz wyzwolenia z narodu i państwa maksimum energji twórczej, narodowej i ludzkiej.

Wszystko wypływa z tych zasad, których nowy wykład znajdziemy w ostatnich Encyklikach papieskich. Każde zadanie będzie w Polsce pomyślnie rozwiązane, gdy zrozumiemy i zaczniemy wcielać w życie ich wielką treść.

I wysokie miejsce zajmie wtedy Polska w systemie współżycia europejskiego. Państwo, które odnajdzie w samem sobie siłę realizacji antypogańskiej, po chrześcijańsku socjalnej i niekłamanie narodowej, które, leżąc między dwoma totalizmami, daje odmienny i nowy przykład światu — oto Polska, zapewniająca sobie wybitną i trwałą rolę w stosunkach międzynarodowych. Zdobywa ona wtedy wszystkie warunki promieniowania politycznego i kulturalnego conajmniej w kierunku państw mniejszych, jak Austrji, Czechosłowacji, Rumunji, Węgier, czy Państw Bałtyckich; staje się rękojmią równowagi moralnej i politycznej tej części Europy.

Przeoczyć ten moment historyczny, nie docenić potęgi tych fundamentów, nie przejąć się świetną perspektywą tej roli, — toby znaczyło opowiedzieć się za zastojem i małością.

Raptularz tygodniowy

(ROCZNICE. — CZY APATJA? — STEREOTYP.).

Równocześnie z rocznicą śmierci Marszałka Piłsudskiego przypada rocznica wypadków, oznaczanych zazwyczaj mianem „przewrotu majowego". Mimo 11 lat, dzielących nas już od maja 1926 r., geneza, charakter i celowość akcji, podjętej wówczas gdzieś w okolicach Warszawy, nie zostały jeszcze ostatecznie wyjaśnione. Poszczególni komentatorowie z obozu zwycięskiego do dziś podają różne wersje, dotyczące ważnych nieraz szczegółów. Oczywiście, nie możemy traktować tej sprawy jako problemu historycznego, gdyż pełnia jej skutków do dziś daje się odczuwać, a większość informacyj dotąd opublikowaną nie została.

Obóz pomajowy w tem jednak był zgodny, że z dojściem do władzy koalicyjnego rządu, którego szefostwo objął Wincenty Witos, czekały go jakieś przejścia i obawa tych przejść stanowiła główny impuls akcji. Klasyczny wyraz temu poglądowi dał nieżyjący już dzisiaj redaktor W. Stpiczyński już podczas samych dni majowych. W komendzie miasta mieściła się wówczas doraźnie funkcjonująca kwatera prasowa. W kwaterze codzienne odprawy urządzał jej szef Stpiczyński. Treść odpraw stanowi nieocenione źródło do poznania motywów i inspiracji tych, których reprezentował.

W najogólniejszym skrócie pogląd jego na sytuację był następujący: Powołanie nowego rządu oznaczało wielkie, bliżej nieokreślone zresztą niebezpieczeństwo, dla porządku prawnego w Polsce. Dla jego obrony podjęta została demonstracja zbrojna i ruch oddziałów wojskowych ma na celu właśnie odwrócenie niebezpieczeństwa, aby stan prawny (Konstytucja 1921 r.) nie został naruszony. Na ostatniej odprawie w komendzie miasta red. Stpiczyński oświadczył w najkategoryczniejszej formie, że wobec przywrócenia stanu prawnego wszystko powraca do normy, demonstracja wojskowa kończy się, a on sam — szef kwatery prasowej — zwija swą placówkę i wraca do biurka redakcyjnego.

Nie ulega wątpliwości, że oświadczenia kwatery prasowej były autoryzowane. Najlepszym tego dowodem była rozmowa, którą uzyskał p. Lochner, korespondent „Associated Press" u Marszałka Piłsudskiego. Gdy korespondent pytał go, jakie prawne skutki mieć będzie 12 maja, Piłsudski pokiwał przecząco głową i rzekł: „to była błyskawica — i nic więcej".

Jakiekolwiek refleksje, wyrażalne i niewyrażalne, nasunęłyby się nam dzisiaj przy rekapitulacji tych epizodów, jest chyba jasnem, że Marszałek Piłsudski w maju 1926 r. żadnej akcji ustrojowej nie podejmował. Przeciwnie, przez szereg lat rządził wprawdzie po swojemu, ale na podstawie Konstytucji z r. 1921, którą niejednokrotnie z lubością, przypominającą literaturę polityczną wieku XVII, interpretował.

*

Moda na brutalność, która ma być głównem znamieniem naszych czasów, wymaga jednak pewnej etykiety. Czasy Rinaldiniego, który był niedościgłym, jak na epokę gangsteryzmu przystało, wzorem gentlemana, wydają się być idyllą niepowrotną. Ale brutalność nie pozostaje tylko przywilejem wyłącznym tych, którzy uznali za odpowiednie czy niezbędne wprowadzić ją w życie polityczne i społeczne. Początkowo inicjatorom oddaje niezastąpione usługi. Obezwładnia przeciwników przedewszystkiem moralnie, uświadamiając im ich całą bezbronność. Lecz po pewnym czasie zasada raz przyjęta i do „przyjęcia podana" poczyna przyjmować się wszędzie, gdzie wschodzi jakaś roślinność polityczna. Mniemanie, że zawsze zwycięża ten, który bije pierwszy, uchodzi na razie w kołach sportowych za przestarzałe. Dość przeczytać szczegółowe sprawozdanie z mistrzostw bokserskich w Medjolanie, skąd nasi zawodnicy wywieźli dwa tytułu mistrzowskie i sperandę na dalsze. Bito po tych słowiańskich facjatach całemi latami. I ci teraz odwzajemniają się. Z musu. Nie mogą inaczej. Heroldowie „wielkich rozstrzygnięć" łatwo zapominają, że rozstrzygnięcia wymuszone doraźnie są łatwo odwołalne i że winniśmy raczej wszyscy ustalać pewne drobniejsze, ale organiczne procesy, niż w hałasie uderzeń tracić swą godność, obowiązującą w dawnych barbarzyńskich czasach, nawet wodzów Alaryka.

Jeden z krytyków „Raptularza" niedawno napisał: w tej notatce nie nazwał Pan rzeczy po imieniu. Gdyby teraz swój zarzut powtórzył, odpowiedziałbym mu: rzecz ta właśnie nie ma jeszcze swego imienia. Ale znają już to zjawisko wszyscy demagodzy, lepsi poeci i komisarze policji politycznej. Nie dotarła jeszcze do najwyższych urzędników, ani do tych redakcyj, w których jedną opinję ma się dla siebie, a drugą (całkiem inną) rozpowszechnia się w histerycznym tonie, którego wysokość zależy od wysokości zamówienia.

*

Słyszeliśmy ostatnio kilka przemówień dygnitarzy i ministrów, prawiących o obecnym i przyszłym stanie życia gospodarczego. Odbyły się dwie narady t. zw. przedstawicieli życia gospodarczego z ministrem skarbu. Jedna w Poznaniu a druga w Gdyni. Przy pomyślnej tej okazji wygłoszono kilka mów, których prawdopodobnie nikt bez specjalnej po temu przyczyny nie czytał. Układane są bowiem według absolutnego schematu, od którego nikt nie chce za żadną cenę odstąpić. Jeśli np. prezes P. K. O., ostatecznie w hierarchji dość wybitny urzędnik i finansista, wylicza w swem przemówieniu ilość materjału zużytego na budowę gmachu P. K. O. i jakby się zachwycał, że tego aż tyle wyszło, to ostatecznie można to złożyć na karb domowego samochwalstwa, od którego nikt, kto reprezentuje, nie jest wolny, ale zaraz potem komunikuje słuchaczom, że przy budowie gmachu pracowali tylko poznańscy rzemieślnicy. Więc jacy u Pana Boga mieli pracować w Poznaniu? Po co powtarzać po setki razy te same banalności, jakby ktokolwiek brał je na serjo.

A mowy w Gdyni — ta wieczna przyszłość na kredyt przy niezapłaconej przeszłości a bardzo niejasnej teraźniejszości, należy do repertuaru, który powinien być odświeżony i to od strony publiczności. Wielkość mów politycznych polega prawie wyłącznie na tem, że umie się powiedzieć jasną prawdę, nie narażając interesu państwa, przeciwnie broniąc go najskuteczniej. I nie lekceważy się nawet najsłabszego audytorjum prawieniem komunałów, od których muchy ze ścian spadają i spadałyby kursy na giełdzie, gdyby wogóle od czegoś innego a nie od banków państwowych zależały. Wydawać się to może przesadą, lecz jesteśmy zdania, że byłoby poważnym elementem postępu gospodarczego, gdyby ministrowie umieli mówić prosto i jasno i nie traktowali swych słuchaczy jako zespołu na czarno ubranych analfabetów, a przedstawiciele życia gospodarczego zdobyli się na odwagę i powiedzieli, gdzie należy, że w interesie ogólnym leży odnawianie treści mów ministerjalnych przynajmniej raz na kilka lat.

Tot.

M. KUKIEL.

Wacław Tokarz

1873 — 1937.

Nieoczekiwany, jakże okrutnie przedwczesny zgon Wacława Tokarza wydarł nam nietylko jednego z najznakomitszych naszych historyków i to z tych, którzy (jak pisał Askenazy o Korzonie) uważali historję za jeden z najpoważniejszych rodzajów służby publicznej i byli „dobrymi, niezbędnymi sługami narodu“. Nietylko jednego z czołowych działaczy doby, poprzedzającej wskrzeszenie naszego państwa. Nietylko jednego z twórców i organizatorów polskiego piśmiennictwa wojskowego. Ubył z pośród nas obywatel i patrjota próby najwyższej, ofiarny, twardy i śmiały, nam starszym niezawodny towarzysz pracy i walki, młodym mądry i szlachetny wychowawca i przewodnik. Jeden z tych, których życie było ciągłym trudem i zmaganiem się z przeciwnościami w drodze do niepodległości, a później do odnowy życia polskiego.

*

Jako uczony był przedewszystkiem (acz nie wyłącznie) historykiem trzech powstań narodowych, nad któremi pracował sam, ku którym zwracał wysiłek swoich uczniów. Z dobą kościuszkowską związał się uczuciem i wysiłkiem badawczym od pierwszej swojej dużej książki „Ostatnie lata Hugona Kołłątaja“ (1905), poprzez szereg dalszych dzieł i studjów, aż do ostatniego z wydanych, najdojrzalszego i najpiękniejszego dzieła tego pracowitego życia, książki o „Insurekcji warszawskiej“ (1935). Wstępem do badań nad powstaniem listopadowem była książka o „Armji Królestwa Polskiego“ (1918); w najgłówniejsze zagadnienia wprowadziła rzecz o „Sprzysiężeniu Wysockiego i Nocy Listopadowej“ (1925); całość dziejów wojskowych dała „Wojna polsko - rosyjska 1830-1“ (1930). Wreszcie jemu zawdzięczamy jedyną większą monografję naukową z dziejów 1863 r.: „Kraków w początkach powstania styczniowego“ (1915).

Gdy występował Tokarz, w historjografji naszej przeważał kierunek negatywny do powstań i do wszelkich wysiłków zbrojnych doby porozbiorowej, jako poczynań szaleńczych i zgubnych. Przełamali ten mur ponurej negacji Korzon, dając imponujący obraz wysiłku narodowego za Kościuszki i Askenazy, uzasadniając linję dziejową Dąbrowskiego i Poniatowskiego. Tokarzowi przypadło nietylko dopełnić znakomicie dzieło Korzona, lecz także dokonać analogicznego dzieła co do rewolucji listopadowej. Powstań nie osądzał. Badał i przedstawiał, jak do nich przyszło. Starał się wniknąć jak najgłębiej w sytuację Polski przed każdem powstaniem, w dyspozycje psychiczne, istniejące w społeczeństwie, doszukać się oddziaływań świadomych i bodźców emocjonalnych, wyróżnić działania zorganizowane i zbiorowe odruchy.

W monografjach swych schodził do najdrobniejszych szczegółów, po mistrzowsku zawsze wiązanych w całość o konstrukcji mocnej, logicznej, przejrzystej. Dzięki tej jego metodzie w książkach tych żyją i działają nietylko przywódcy, mężowie stanu, wodzowie; żyje i działa naród. Każde z powstań jest próbą jego żywotności, spoistości, energji, patrjotyzmu poszczególnych grup społecznych a w szczególności stosunku masy ludowej do sprawy wyzwolenia ojczyzny. Nad zagadnieniem, czy nie byłoby lepiej, gdyby nie było powstań, zawsze góruje u Tokarza (jak u Korzona, jak u Askenazego) inne: czy w danej sytuacji zdziałano, co było możliwe, by wywalczyć zwycięstwo. Taki stosunek do przedmiotu, to stosunek bojownika do walk poprzedników; podobnym jest stosunek oficera do dawnych operacyj czy bitew. Jest to punkt widzenia pokrewny historyczno - wojskowemu. Nic dziwnego, że dla historji wojskowej, ledwie istniejącej u nas przed odbudowaniem państwa, Tokarz okazywał zawsze zrozumienie i głębokie zainteresowanie, z czasem zaś pracą swą badawczą, pisarską, organizatorską, nauczycielską położył na tem polu zasługi niespożyte.

*

W Tokarzu-historyku znaleźliśmy bojownika sprawy narodowej i — jej żołnierza. Był jednym i drugim także poza swą działalnością naukową, pisarską, wychowawczą. Należał do najściślejszego grona organizacji „Armji Polskiej“ (1911-4) i do kierowniczych kół Polskich Drużyn Strzeleckich. W przedwojennych pracach przygotowawczych do wystąpienia zbrojnego w razie wojny wybitny miał udział. Zarówno wtedy, jak w dobie Legjonów przyczynił się słowem i piórem do ukształtowania oblicza naszego wojska, wiążąc moralnie nowych żołnierzy polskich z tradycją powstańców, żołnierzy Rzplitej, Kościuszki, dawnych Legjonów, Księstwa i Królestwa.

*

Przechodzimy do prac Tokarza nad piśmiennictwem wojskowem. Zaczął je od „Bibljoteczki legjonisty“, podającej w małych tomikach przedruki pamiętników i szkiców z naszej przeszłości wojskowej. Przez lat bezmała dziesięć (1917 do 1927) miał funkcję kierowniczą i organizatorską w dziedzinie piśmiennictwa wojskowego oraz zakładów wojskowych, służących nauce. On stworzył i przez lat przeszło dziewięć prowadził „Bellonę“, naukowy miesięcznik wojskowy. On stworzył popularne pismo dekadowe dla szeregowych, „Wiarusa“. On rozwinął i prowadził Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy, organizując całą niemal produkcję naukową w wojsku, czuwając nad jej poziomem, stawiając zwłaszcza odrazu na właściwym poziomie najbliższą mu historję wojskową. Włożył w tę ogromną pracę, wymagającą własnego ogromnego wysiłku poznawczego, całą duszę. Zużył w niej wiele sił żywotnych. Jemu zawdzięcza literatura wojskowa Polski odbudowanej przynajmniej to, że jest nieskazitelnie polską.

*

Był ofiarnym sługą Ojczyzny. W służbie nie szczędził sił, których nie miał do zbytku. Charakter twardy, nie znał kompromisu z przekonaniem i sumieniem, z uporem szedł drogą raz obraną, gdy urywała się, skłonny był raczej zamknąć się w sobie i trwać, aniżeli zawrócić. W czasie kryzysów legjonowych należał do tych, co się uwzięli, by ratować zawiązek wojska polskiego od likwidacji i utrzymać do chwili, ku działaniu stosownej. W wojsku Rzplitej należał (1921) wraz z gen. Władysławem Sikorskim i innymi do twórców Związku Honoru i Ojczyzny, stawiającej sobie za cel wewnętrzną konsolidację wojska na gruncie ofiarnej i bezinteresownej służby Ojczyźnie, posłuszeństwa jej prawom, kultu honoru (przyczem honor służby nie przeciwstawiał się tam osobistemu, ale stapiał się z nim i sublimował). Gdy przyszło organizację rozwiązać (1923), płk. Tokarz z jej polecenia wystąpił (obok płka Gembarzewskiego) wobec wojskowych władz sądowych z wyjaśnieniem jej charakteru i celów.

W głośnej sprawie Biura Historycznego (1925) jako członek powołanej przez ministra do zbadania pamiętnych oskarżeń komisji rzeczoznawców, okazał równie skrupulatną bezstronność, jak dużą cywilną odwagę. Po wypadku majowym musiał odejść z czynnej służby wojskowej. Nie bez męki rozstawał się z warsztatem pracy przez siebie stworzonym i z umiłowanym mundurem. Przywrócony nauce, a niebawem i nauczaniu uniwersyteckiemu, nie przestał do końca w dziedzinie nauki i wychowania służyć wojsku narodowemu.

Ciężko przeżywał ostatnie dziesięciolecie naszych dziejów. Całą duszą obstawał przy moralności chrześcijańskiej w życiu publicznem, przy praworządności, przy rozsądnej wolności, przy prawach i godności narodu. Historyk, nie mógł się pogodzić z przekreślaniem lub poniżaniem dorobku dziejowego wieków dla celów tej czy innej gry politycznej. Gorzej od zgryzot osobistych, których nie szczędziło mu życie, nękały go sprawy publiczne. Przejmował się niemi do głębi. Należał do grona założycieli i przyjaciół „Odnowy“. Choć nurtująca go już choroba nie dała mu się wypowiedzieć na jej łamach obszerniej, był z nami. Odszedł, nie doczekawszy rozwiązania ciężkich zagadnień współczesności polskiej, z myślą o niej posępną, ale zarazem z nigdy niezachwianą wiarą w naród polski.

„...Wasze łakomstwo, wasze niezgody i wspólne zawiści do tej niedoli przyprowadziły Ojczyznę! Przez zniewagę praw, przez zgwałconą we wszystkich sądach sprawiedliwość, zniszczyliście... wyniosłość ducha, męstwo, odwagę, stałość w przedsięwzięciu i miłość wolności, zatraciliście własny Polaków charakter, nadając... podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość!“

Stanisław Staszyc: „Przestrogi dla Polski“.

Z 7 dni

W artykule p. t. „Poza dyskusją“ — nie dziw, że rozgłośnym w Polsce, — E. Zegadłowicz wymienia cztery filary, na których opiera się współczesność ludzka: 1) chrześcijaństwo — wkład żydowski; 2) poglądy na wszechświat, — stworzone przez Einsteina; 3) twórczy ruch socjalistyczny — prezent Marksa; i 4) poznanie duszy własnej, — zdobycze Freuda.

„Czyli: cokolwiek w dziedzinie stosunku człowieka do człowieka, etyki, dążności społecznych, wiedzy, psychologji, tworzymy i przetwarzamy, leży w obrębie wspaniałych dokonań genjuszu żydowskiego“.

Uogólnień tej samej wartości było sporo. Jeszcze w zeszłym wieku pisano, że we wszechświecie panują cztery żywioły: ogień, woda, flegma i kolera. Albo, że światem rządzi sexus i żołądek. Albo, że w danym kraju najgenjalniejszym i nieomylnym jest lub był władca taki a taki. Nikt tego poważnie nie bierze i sprawy nie warto byłoby wytaczać, gdyby... Gdyby nie było walki polsko - żydowskiej, w której obie strony nie żartują.

B. redaktor katolickiej T ę c z y *i autor powieści „Zmory“ (obficie plugawej) postępuje nierozważnie. Czy przeciwnicy o równej mu inteligencji, wiedzy i emocjonalności nie palną teraz równego głupstwa? Jeśli chodzi o podsycanie nienawiści, to wszystko jest w porządku: brak umiaru z jednej strony wywoła brak umiaru z drugiej strony. Jeśli natomiast chodzi o znalezienie drogi wyjścia, a nawet o obronę Żydów, to po Zegadłowiczowskiej obronie składamy kondolencje — Żydom.*

*

Uchwały Rady Naczelnej P. P. S. są na szczęście umiarkowane. Na końcu zmysł rzeczywistości zaczyna wypierać doktrynę. Nic nie szkodzi, że w innej tonacji podane są tutaj demokratyczne motywy. O różnicach kompozycyjnych pogadamy w przyszłości, a tymczasem dobrze jest zwrócić uwagę na wspólne dysonanse i nieszczęścia. To właśnie głoszą wspomniane uchwały i to jest ich ogólnopaństwową zasługą.

Jeszcze kilka takich posunięć ze strony rozmaitych ugrupowań, a pierścień sojuszniczy wokół głównego wroga zamknie wszelkie drogi do ucieczki. Jedni zaśpiewają wtedy „nie będzie więcej pluć nam w twarz“, drudzy zaśpiewają „sędziami wówczas będziemy my“, trzeci chór zaintonuje „o cześć wam panowie sanaci“, a już znajdą się metody kontrapunktu sejmowego, ustalające harmonję pomiędzy pierwszemi i drugiemi głosami.

Kronika zagraniczna

KORONACYJNY ZJAZD DYPLOMATÓW.

Koronacja króla Jerzego VI, poza swą stroną dekoracyjną, ma niewątpliwie także i ważną stronę polityczną. Ważną nietylko dla imperjum brytyjskiego, którego reprezentanci będą mieli okazję spotkania się między sobą i z kierownikami rządu angielskiego, ale i dla całego świata. Koronacja bowiem zamieniła się w zjazd dyplomatyczny w wielkim stylu. Będą mieli w Londynie sposobność spotkać się ze sobą i porozmawiać nawet dyplomaci tych państw, które zresztą rzadko mają możność bezpośredniego zetknięcia się z sobą. Odnosi się to specjalnie do reprezentantów tych państw, które nie należą do Ligi Narodów i nie korzystają z tej sposobności do bezpośredniej wymiany poglądów, jaką dają perjodyczne zjazdy genewskie. Kuchnia dyplomatyczna będzie więc w Londynie pod pełnym ogniem, a czego nie można będzie załatwić w przeładowanych obowiązkami reprezentacyjnemi dniach koronacyjnych, to omawia się już przedtem, jak premjer Hodża, lub potem, jak austrjacki kierownik polityki zagranicznej Schmidt. Wreszcie dalszym ciągiem rozmów londyńskich będą rozmowy paryskie. Do Paryża bowiem udaje się w powrotnej drodze z Londynu i w związku z otwarciem wystawy większość gości koronacyjnych. Cały maj i początek czerwca stać tedy będą pod znakiem ożywionej działalności dyplomatycznej. Rezultaty jej dadzą się odczuć zapewne dopiero później.

WOJNA PRASOWA.

Mussolini nie ograniczył się do odmówienia wysłania do Londynu specjalnej delegacji na koronację i wyłączenia przez to Włoch z rozmów dyplomatycznych. W przeddzień koronacji otrzymali wszyscy korespondenci pism włoskich w Londynie z wyjątkiem korespondenta urzędowej Ajencji Stefani, rozkaz opuszczenia Londynu, a równocześnie odebrano debit we Włoszech wszystkim dziennikom angielskim, z wyjątkiem trzech, sympatyzujących z faszyzmem. Jest to więc wypowiedzenie wojny prasowej, sposób, który już poprzednio widzieliśmy — w Sowietach. Les beaux esprits se rencontrent. Powodem jest nietylko i, powiedzmy otwarcie, nie tyle niezadowolenie z oficjalnego uznawania przez Anglję wygnanego cesarza Abisynji, ile oburzenie na prasę angielską za otwarte omawianie klęsk posiłkowych wojsk włoskich w Hiszpanji i ich małej wartości bojowej oraz represyj włoskich w Addis Abebie po zamachu na wicekróla Graziani. Nie można powiedzieć, aby ta wojna prasowa zrobiła w Anglji duże wrażenie. Z wyrozumiałą i lekceważącą pobłażliwością odłożono załatwienie tego incydentu na swobodny czas — po koronacji. Natomiast zacierają ręce Niemcy, mające wszelki interes w dalszem zaostrzeniu stosunków włosko - angielskich. To też prasa niemiecka podsyca zręcznie oburzenie włoskie, dodając własne żale z powodu afery z zbombardowaniem świętego miasta Basków, Guernica. Rząd natomiast niemiecki zajmuje stanowisko więcej niż poprawne, wyzyskując każdą okazję do manifestowania chęci zbliżenia się do Anglji. Tymczasem zresztą bez powodzenia.



„Doszło do tego, że dziś idea polskiego żołnierza zgasła wśród nas w znaczeniu militarnem, a przeszła w anemiczną formę t. zw. żołnierza obywatela. Ten ostatni ideał Polaka mniej lub więcej „nowoczesnego“ ma polegać na tem, że cechy żołnierskie powinny przejść w dziedzinę życia publicznego przy równoczesnem zaniedbaniu organizowania siły zbrojnej. Bezwzględna karność służbowa cechująca życie wojskowe, ulega przerzuceniu na teren swobodnej akcji obywatelskiej. Życie publiczne potrzebuje swobody, by móc rozwijać zjawiające się na jego arenie indywidualności. Każda inicjatywa prywatna zdana być może w innym wypadku na łaskę i niełaskę tych sfer, które skupią w swych dłoniach dyktaturę polityczną. Stłumienie życia i niedołęstwo polityczne mogą być jedynemi wynikami tego rodzaju patrjotycznej hodowli. Nie znaczy to, by w życiu publicznem wykluczać karność i zostawić miejsce dowolności. Idzie jedynie o potępienie bezwzględnej, absolutnej karności wojskowej, jako metody organizowania życia publicznego. Karność wojskowa stoi rozkazem bez względu na sąd żołnierza o treści rozkazu. Karność obywatelska musi dbać jednak o ten sąd, bo inaczej zniepr awi się życie i osłabnie tętno wszelkiej akcji obywatelskiej. Karność wojskowa przerzucona w życie publiczne grozi temi stratami, na jakie narazimy armję, jeśli przerzucimy w jej szeregi obywatelską swobodę działania. Zapominają o tem ci, którzy w sprawie techniki powstańczej zadawalają się ideą pospolitego ruszenia, a w życiu bieżącem chcieliby chwytać każde ognisko woli w pęta bezwzględnej karności wojskowej“.

(Jan Brzoza (Dr. F. Młynarski)
„Zagadnienie Polityki Niepodl.“.
Kraków 1911).

JAN GUTRY.

Profil „Zjazdu Miast Polskich"

Gdy pisaliśmy w ostatnim artykule, że działalność publiczna i energja społeczna omija gminę, która okazać się może wstępem do Berezy — nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, że, nim numer „Odnowy" się ukaże, znajdą słowa nasze potwierdzenie na Zjeździe Miast Polskich. W dyskusji swej z p. mec. Kowalskim p. Stefan Starzyński zauważył, że p. Kowalski, krytykując gospodarkę Warszawy przez charakterystykę metod postępowania komisarycznego zarządu, popełnił wobec istnienia Berezy grubą nieostrożność.

P. Stefan Starzyński, od trzech blisko lat tymczasowy prezydent stolicy, objął to stanowisko, jako prezes stołecznej organizacji B. B. W. R. Dziś, jak wiadomo, jest najbliższym współpracownikiem p. płk. Koca i kierownikiem sektora miejskiego O. Z. N. Wystąpienie więc jego na zjedzie w pewnej mierze potwierdza opinję, że między O. Z. N., a B. B. W. R. w gruncie rzeczy istnieje taki stosunek, jak pomiędzy przysłowiowem jabłkiem a jabłonią i że nie tyle deklaracja ideowa, ile kultura polityczna oraz osobista przywódców O. Z. N. jest tą arką przymierza pomiędzy teraźniejszością, a niedawnemi laty. Poza polityczną jednak stroną sprawy, zachowanie się p. Starzyńskiego było bardzo znamienne dla stosunków samorządowych i przedewszystkiem z tego względu nas tutaj ono obchodzi.

Tymczasowy prezydent stolicy, co nie jest dla nikogo obojętne, i stały czy też tymczasowy prezes sektora miejskiego O. Z. N. — co naogół dla wszystkich jest najzupełniej obojętne — nie po raz pierwszy zdradza w swych wystąpieniach pewien brak równowagi i upodobanie mieszania się do nieswoich rzeczy.

Tak naprzykład przed paroma miesiącami wystąpił niespodziewanie w roli reprezentanta ludności Warszawy wobec Papieża, od którego w odpowiedzi na swą depeszę hołdowniczą otrzymał błogosławieństwo dla siebie i dla mieszkańców stolicy. Tym razem na uwagę, że religja jest sprawą prywatną każdej jednostki i że nie należało publicznie zajmować się dokonaną przez p. Starzyńskiego zmianą wyznania rzymsko-katolickiego na kalwinizm, mogła paść słuszna odpowiedź, że w danym wypadku zasada ta zachowywana być mogła tak długo, póki p. Starzyński nie narzucił się — mimo wystąpienia z Kościoła i przyjęcia kalwinizmu — na pośrednika między ludnością katolicką a Papieżem. Gdy to uczynił — prywatna jego sprawa stała się sprawą publiczną, a minimum tego, czego miała prawo od niego zażądać ludność katolicka było życzenie, wyrażone w ten czy inny sposób w głosach większości prasy stołecznej, aby p. Starzyński nie mieszał się w przyszłości do spraw nieswoich.

Jeśli składanie hołdu Papieżowi nie uważał za konieczne dla prezydenta, lepiejby zrobił, gdyby depeszy nie wysłał; jeśli doszedł do wniosku, że to leży w obowiązkach Prezydenta Stolicy, nie powinien tej godności piastować — rozumują logicznie ci, których ta sprawa obeszła. Tak czy owak — nie do niego rzecz ta należała.

Na zjedzie miast zagalopował się znowu. Od dłuższego już czasu przy każdej nowej emisji pogłosek politycznych wymieniany jest p. Stefan Starzyński, jako uparty kandydat na Ministra Spraw Wewnętrznych. Pogłoski te rozchodzą się po Warszawie podobno z Placu Teatralnego.

Przypomnienie więc mec. Kowalskiemu o Berezie ze strony przewodniczącego sektora miejskiego O. Z. N. mogło być zrozumiane, jako złożenie oferty na stanowisko Ministra Spr. Wewn. czynnikom decydującym w rządzie, lub jako zapowiedź objęcia władzy rządowej w państwie przez płk. Koca przy współudziale p. Stefana Starzyńskiego z powierzeniem mu resortu, do którego należy „miejsce odosobnienia". Trudno bowiem przypuścić, aby obecny Minister Spr. Wewn. p. gen. Składkowski upoważnił p. Starzyńskiego do dysponowania Berezą już w chwili obecnej. To też p. Starzyński wystąpieniem swem na zjeździe przedewszystkim utwierdził opinję, że w każdym razie wtrąca się przedwcześnie do nieswoich rzeczy. Pozatem jednak gruntownie skompromitował zjazd. Unaocznił jego charakter i poziom.

Każdy może w tem miejscu zapytać: — w czyich oczach? — Nie stawiamy więc wymagań, wykraczających ponad przeciętność.

Mniejsza o formę wystąpienia p. Starzyńskiego w sporze z mec. Kowalskim, przenoszącą dyskusję z rejonu obrad czy narad do rejonów kłótni, mniejsza o uchwałę Zjazdu, powziętą na wniosek pos. Gduli, w której między innemi Zjazd potępia mec. Kowalskiego z tego powodu, że przytoczone przez niego dane o gospodarce w stolicy są „jak wynika ze sprostowania prezydenta m. st. Warszawy nieprawdziwe".

To już w dużym stopniu wystarcza dla charakterystyki poziomu i powagi Zjazdu, obradującego pod przewodnictwem p. Starzyńskiego na warszawskim ratuszu, świadczy o poczuciu odpowiedzialności za przyjęte rezolucje. „Sprostowanie" p. Starzyńskiego polegało na rzuceniu kilkunastu cyfr, których zgodność z rzeczywistością i z budżetem została na drugi dzień zakwestjonowana przez prasę i które mec. Kowalski, nie otrzymawszy głosu, z miejsca określił, jako fałszywe. Zjazd jednak zachował się jak warszawski bajrat, który w ten sam sposób, o ile sobie przypominamy, pobiera uchwały, tyczące się p. Starzyńskiego.

Lecz nie o to wszystko chodzi. Na Zjeździe stała się rzecz ważniejsza.

Brało w nim udział kilkuset samorządowców. Prawie wszyscy prezydenci, wielu burmistrzów, wielu radnych; pomiędzy nimi niejeden, który piastował kiedyś lub piastuje teraz różne godności, nie wyłączając poselskiej i senatorskiej. I nikt, dosłownie nikt w tym gronie (uwaga nasza oczywiście nie może tyczyć się opozycji) nie poczuł się dotkniętym, nie doznał potrzeby reakcji i protestu, gdy przewodniczący Zjazdu, Prezes Związku Miast Polskich i Prezydent Stolicy z powodu krytyki swej działalności przypomina jednemu z uczestników o Berezie. Czyż już do tego stopnia dojrzała solidarność i dyscyplina ozonowa? Czy też do tego stopnia upadło nawet w samorządzie poczucie niezależności i godności obywatelskiej? Przedstawicielstwo miast czy zebranie urzędników? Mniej! Urzędnik posiada określony charakter, wiemy wszyscy, co mamy prawo i czego nie mamy prawa od niego żądać, ma pozycję, z której mu zejść nie wolno i której nie potrzebuje obniżać. Należy organizacyjnie do rządzącego systemu, pozostaje w zgodzie z sobą nawet wówczas, gdy nie protestuje, choć chciałby protestować. W innem natomiast jest położeniu i inne stawia się wymagania obywatelowi, reprezentantowi ludności czy też jakiejś instytucji. Jego odwagą cywilną, jego niezależnością, poczuciem i wyrazem godności — mierzymy jego wartość.

Nie sądzimy, aby na Zjeździe odniosło triumf tchórzostwo. Raczej objawił się zanik pewnych cech niezależnego i wolnego obywatela. Przyjęto wniosek posła Gduli i sprawa dla wszystkich została zakończona. O wystąpieniu p. Starzyńskiego — ani słowa.

Dlatego też twierdzimy, że p. Starzyński, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, przyczynił się do kompromitacji Zjazdu, który miał nosić charakter obywatelski i który za obywatelski zjazd samorządowy chciał uchodzić.

Nie udało się. Może zresztą nie mogło być inaczej. Zjazd samorządowy w mieście pozbawionem samorządu, odbywający się pod przewodnictwem delegata rządowego, zwołany przez Związek, w którym tenże delegat jest prezesem, musiał odbywać się w atmosferze niedomówień i nieszczerości.

Omówiliśmy dłużej jeden tylko epizod ze Zjazdu, odkładając na później sprawy, które znalazły się na porządku dziennym obrad i które tyczyły się gospodarczego stanu i potrzeb miast polskich. Zdaje się jednak, że uprzytomnienie sobie oblicza zespołu, obradującego w imieniu samorządu miejskiego, wyrobienie sobie pojęcia o zasięgu jego samodzielności i postawie moralnej stanowi pierwszy warunek prawdziwej oceny powziętych uchwał i ich znaczenia.

„...Nędza ludzi rośnie w stosunku do ich niewoli".

*

„...Mówić... że lud nieoświetlony nie może mieć w całości praw sobie zwróconych, jest mówić przeciw regułom roztropności i słuszności".

Hugo Kołłątaj: „Do Prześwietnej Deputacji dla ułożenia projektu Konstytucji rządu polskiego, od sejmu wyznaczonej".



W ROCZNICĘ KANIOWA (6 — 12 MAJA 1918) O WIELKOŚCI I SMUTKU LEGJONÓW.

Jak Dąbrowskiego Legjony, tak i te Piłsudskiego i Hallera chyba nigdy z wychowania polskiego, do pamięci i bohaterstwa nie będą wykreślone. Byleby uderzyć, bez frazesów, mistyfikacyj, i kolorkowej łatwizny, w sam ich prawdziwy moralny ton i historyczny sens. Frazesem i jedną z licznych mistyfikacyj, przypisywać Legjonom, fakt z ich faktem i rozmiarami tak niewspółmierny, odbudowę Polski; tam gigantyczne działały siły, a jedną z nich była, od pokoleń stwierdzana, wola całego narodu polskiego, wola, dzięki której nigdy naprawdę sprawa polska nie wygasła w polityce Europy, ani w świadomości cywilizowanego świata. Szkolną zaś, szablonowo - kolorkową łatwizną — to przedstawiać życie w Legjonach, jako jeden ciąg śpiewnej beztroski. Nie wolno zapominać, że Legjony wypiły pełny kielich goryczy, i że piły go od pierwszych dni (a zwłaszcza Druga Brygada...).

Wielkie to szczęście było i istna opieka niebieska, że było jak było, bo gdyby ta samotna kompanja niedoświadczonej jeszcze piechoty była napotkała przed sobą nie szczupłe arjergardy kozackie, ale jakiś tęgi raid kawalerji z armatami — to byłoby się to „szaleństwo" — (ówczesno nomenklatura oficjalna) — skończyło rychło i strasznie smutno. Więc, jeśli wolno tu mówić o jakiejś „wielkości", to chyba nie w wojskowym sensie, lecz tylko i wyłącznie w moralnym, a to w odniesieniu do tych młodych, którzy w tej pustce i niewiadomem trwali i wytrwali.

Wkrótce jednak żołnierz I Brygady uczuł za sobą ufność i zapał społeczeństwa, nadzieję, że wystąpienie nasze zbrojne u boku Austrji ma narodowy sens, a nie jest tylko jakąś wojskową smętną donkiszoterją: utworzył się Naczelny Komitet Narodowy, powietrze krakowskie napełniło się entuzjazmem nigdy niezapomnianym, uwierzono, a w każdym razie chciano wierzyć, że walka, którą legjoniście przyjdzie stoczyć śmierć, którą przyjąć — będzie walką i śmiercią o Polskę i dla Polski. Żołnierz I Brygady stał się ulubieńcem społeczeństwa, wódz tej Brygady ucieleśnieniem snów o szpadzie i polskiego wodzostwa. Poezja, dziennikarstwo, na drogę tej Brygady strząsały z piór wszystkie kwiaty. Działał już Kaden, główny Kreator Legendy o Czynie I Brygady, wielce zasłużony...

Dopiero za kordonem czekała na I Brygadę pustka: pośród społeczeństwa Król. Pol. legjonista uczuł się osamotniony. Biedny żołnierz nie odrazu pojął, że to nie obojętność narodowa jest sprawczynią samotności, na którą on skarżył się smutną „nutą żebraczą" i gniewał bezsilnie: „Już skończył się czas kołatania do waszych serc, waszych serc..." Tam napewno były serca, i byłyby się otwarły dla polskich żołnierzy, gdyby nie to, że te serca już się były obróciły, jedną wielką ścianą, przeciwko mordercom Kalisza.

Kiedy już Austrja cofała się w klęsce pod Kraków, kiedy już był czas, żeby o wartości tej starej sojusznicy zwątpić, i kiedy był już czas, żeby znienawidzić sojuszników sojusznicy, morderców Kalisza, kiedy już czas był, po minionym entuzjaźmie wspomnieć, że potęga niemiecka już nam w Wielkopolsce ostatni dech z gardła wyciskała i kruszyła żebra, kiedy nasze serca już się jednym wielkim odruchowym skokiem przerzuciły na pola Francji, i w serdecznym podsłuchu, w nienawistnym lęku, śledziły za każdem en avant Francuzów, za każdem vorwaerts Niemców — wtedy-to, o takiej porze, jesienią roku i jesienią nadziei wychodził w pole Żołnierz II Brygady.

Proszę to pojąć: Przemóc żywiołowy już nastrój narodu, z szeregiem swoim stanąć obok szeregów przeklętych, (boć się już Austrja jako czynnik samodzielny przestała liczyć), beznadzieją stłumić, niesmak landsturmowej przysięgi przełknąć, oprzeć się argumentom kolegów, co z szeregu wyszli, argumentom słusznym! — uprzeć się przy swojem nieśmiałem „przecież, a przecież... może coś z tego będzie..." — oto czego dokonać w sobie musiał żołnierz II Brygady, kiedy w pole ruszał. Nie dziw, że się jakąś ciężką przedwczesną zadumą okryło czoło niejednego z tych młodych. A społeczeństwo? Gdy dalej pieściło I Brygadę, na II Brygadę patrzyło, jak się patrzą ludzie na swój „błąd młodości": z niechęcią. Wieleby o tem wspominać.

Coraz uciążliwsze były warunki psychiczne służby w Legjonach, w każdym razie dla tych wszystkich uciążliwe, co poprzez fakt Legjonów, jako wojskowej formacji, patrzyli na Polskę, jako na zadanie ponad wszystkie zadania. Coraz ucięźliwsze było jarzmo Centralnych, coraz żarliwiej upatrywana była ich klęska a tu legjonista był żołnierzem ich wojskowego systemu. Gorycz i zniechęcenie maskowały się ową niewinną gaskonadą, w której niepodobna było nie odczuć akcentów melancholji i autoironji... Zagrażało to, co dla prawego żołnierza, który dobrze wie, jak mu żyć i umierać przystoi, jest zawsze najgorsze: obluzowanie się i zmącenie kategorji obowiązku. Odarty z rzeczowych nadziei żołnierz, miał jeszcze tylko jeden w sobie sens siebie: Trzymać się prosto i dźwigać w tem pokoleniu i w tej Wojnie honor wojskowy Polaków. Na froncie, pod okiem dowódców, żołnierz polski pracował na to, żeby się Polak swej krwi nie wstydził. Ale już na powracającego z frontu żołnierza, dla odpoczynku, dla pokrzepienia się, po domach rodzinnych, po kadrach, po szpitalach, nie serce narodu czekało z podporą, ale samotność beznadziejna, ale przedśmiertny zaduch austrjackiej armji, już moralnie załamanej...

Niepodobna długo opierać się, choćby w determinacji najwznioślejszej, zdrowym sympatjom zdrowej nienawiści, zdrowemu rozsądkowi. Coś musiało w tym tragicznym węźle trzasnąć: trzasła wojskowa wobec Centralnych wierność. W r. 1917, wewnątrz kolczastych drutów Benjaminowa i Szczypiórna, pod pruską strażą, żołnierz I Brygady poczuł się, poraz pierwszy, naprawdę wolnym; Wolnym, bo zespolonym z wielką Wolą narodową, która od początku wiedziała, że armję tworzyć, od Niemców zależną, pomocną Niemcom — to iść w zasadzkę straszliwą. W rok później przyszedł drugi przełom, niepomiernie głębszy i ważniejszy: Rarańcza a za nią Huszt, i potem Kaniów. II Brygada podniosła broń naprzód przeciw Austrjakom, a potem spotkała się na wojennem polu z Niemcami. Polska przeszła już jawnie, z bronią w ręku, do obozu Koalicji, która obiecywała na wypadek swego zwycięstwa nowy świat urządzić, gdzie było miejsce na Polskę, wolną, zjednoczoną i z dostępem do morza. Polityczne następstwa Rarańczy dały się już niedługo widzieć.

Kaniów to była klęska, niestety. Osaczona przez siły przemożne, po 6-dniowej walce II Brygada kapitaluwała i rozprószyła się. Czy była wina w tem Wodza, że zbyt ulegał podszeptom Rady Regencyjnej, czy wogóle była jaka wina, niech sprawiedliwa rozsądzi historja. Dość, że w tej wojnie poraz pierwszy (i poraz pierwszy od r. 48) oręż Polaków zmierzył się z orężem niemieckim, zmierzył się, wstydu nam nie przyniósłszy, bo sami Niemcy, tam na polu walki, uznali dzielność przeciwnika, wszystkich honorowych udzielając mu warunków kapitulacji. Teraz żołnierze II Brygady na hasło dowódcy, za jego przewodem, podążali na Murmań daleki w hyperborejskie zimne sfery, gdzie „się białe niedźwiedzie meldowały do W. P. i gdzie im spadało na głowę koło podbiegunowe... A którzy tam nie trafili, szli wszędzie, gdzie tylko, jak kwiaty na wiosnę wykwitały, bez żadnego rozkazu, tylko na rozkaz wiecznej pamięci i nierozgrzeszej ambicji, oddziały polskie. Straszne to były drogi, — świecące szubienicami, przez rozszalałą czerwonym terrorem Rosję, poprzez okrutne watahy ukraińskiej czerni. Była to wielka i groźna epopeja pełna przygód niesłychanych i akcyj bohaterskich której rąbek uchylił ten biedny Małaczewski i paru pamiętnikarzy, nam współczesnym prawie nieznana, przez wychowanie dotychczas niezużytkowana, czekająca na swego wielkiego opowiadacza na miarę i w stylu Sienkiewicza.

Kaniów był klęską, ale kiedy przyszła do kraju wieść o Kaniowie, to jakoś wyprostowali się wszyscy. Były, były jeszcze troski straszne o tego tam żołnierza - wędrownika, przez śmierć katowską ściganego. Ale stały się wielkie moralne dobrodziejstwa: Szczerość uzyskana, wobec przeciwnika i z samym sobą; i wielka a pospólna prostota celów. Kończyły się mętne dni, kiedy w sytuacji dwuznacznej wypaczał się charakter Polaków i mąciło się piękno polskiego żołnierza. Teraz wiadomo było, jak prosto stać, czemu służyć, za co w razie czego umierać. Aż przyszła nakoniec sama Polska, w polskiej wojnie o miasto Lwów — i do reszty wyprostowały się zmęczone dusze żołnierskie. Taka była wielkość i niedola Legjonów.

Cyrano.

Na wiejską nutą.

— Czerwone jabłuszko, przekrojone na krzyż...
Panie wojewodo! czemu na wieś patrzysz?
— Chłopi za wodą, chłopi za wodą —
trzeba ich rozegnać, bo rej zawiodą!
Ja ci rozkaz dam, ty im zakaz dasz,
nie będą słuchać — wiesz, co robić masz!
— Czerwone jabłuszko po polu się toczy...
Panie wojewodo! Strach ma wielkie oczy!
— Chłopi za wodą, baby za wodą —
trzeba ich rozdzielić, bo nas pobodą!
Ja ci nakaz dam, nakaz to jest grunt —
nie będą słuchać — no, to znaczy... bunt!
— Czerwone jabłuszko z gałęzi strzęsione...
Panie wojewodo! To Świątki Zielone!
Lud jest za wodą, Polska za wodą —
nie damy rady chłopskim pochodom!
Poco się w to pchać, lepiej spokój dać —
potem wszyscy znów z nas się będą śmiać!

GRYF.

JAN BEZŁASKI.

Artykuł o niczem

Każdy ma prawo do błędu. O wielkości męża stanu świadczy nie to, czy i ile popełnił błędów w swej działalności, tylko skala i sens jego działania. Nikt nie będzie twierdził, naprzykład, że jeden z najwybitniejszych polityków współczesnych p. Stanley Baldwin nie mylił się. Ale opinja publiczna nietylko Wielkiej Brytanji, ale i całego świata, zdawała sobie zawsze sprawę z tego, do czego rząd brytyjski, kierowany przez p. Baldwina, zmierza. I to pomimo przysłowiowej już „niekonsekwencji" brytyjskiej polityki — przynajmniej według pojęć kontynentalnych — i pomimo, że p. Baldwin jest antytezą wszelkiego efekciarstwa, które podkreśla i rozdyma najdrobniejszą sprawę, z jakiej uda się uciułać choćby mizerny kapitalik polityczny.

A teraz zastanówmy się przez chwilę nad pytaniem: jaka jest obecnie polska polityka gospodarcza? Jakie ma k o n k r e t n e c e l e i jakie k o n k r e t n e środki zamierza stosować do ich osiągnięcia? Pytanie to postawić musi sobie każdy, kto w ten czy inny sposób współdziała z polityką państwową, jest jej objektem, czy wreszcie zwalcza ją. Pytanie to zadaje również opinja publiczna kierownikom polityki gospodarczej. W chwili obecnej nasuwa się ono szczególnie natarczywie: po przewlekłym — dłuższym u nas i dotkliwszym niż gdzieindziej — kryzysie, rozpoczyna się pewien ruch zwyżkowy, pewna poprawa w gospodarstwie narodowem. Tak wiele mamy do odrobienia nietylko po spustoszeniach kryzysowych, ale nawet niezależnie od nich, że wszelka nadarzająca się ku temu możliwość musi być jak najstaranniej wykorzystana, poprostu w lot podchwycona i wzmocniona.

O tem właśnie decyduje nasza polityka gospodarcza.

Jakaż ona jest?

Nie będziemy sobie ułatwiać zadania i określać jej na podstawie np. prasy prorządowej. Doszlibyśmy do przygnębiającego wniosku, że nietylko linja przewodnia tej polityki jest nieokreślona, ale że i poziom jej jest przerażająco niski. Lektura np. *Gazety Polskiej* upoważnia pod tym względem do najbardziej pesymistycznych wniosków. Żyjemy jednak w tak oryginalnych stosunkach, że prasa prorządowa jest raczej domeną harców „politycznych sobiepanów", niż wyrazem jakiejś konstruktywnej idei, czy choćby narzędziem gabinetu.

Spróbujmy sięgnąć do faktów i miarodajnych oświadczeń rządowych.

Jeśli chodzi o fakty, to na plan pierwszy wybijają się dwa: dążenie do osiągnięcia równowagi budżetowej i utrzymanie stałości waluty. Obydwie te sprawy mają istotne znaczenie dla całej polityki gospodarczej, ale każdy zrozumie, że stanowią one właściwie tylko podstawę do polityki gospodarczej we właściwym znaczeniu tego słowa. Same przez się nie wystarczą ani dla określenia, jaka jest polityka gospodarcza państwa — co jeszcze byłoby pół biedy, gdyby tylko o to formalne określenie chodziło, — ani też nie wystarczą do świadomego realizowania zadań gospodarczych. Nie umniejszając więc w niczem znaczenia dążeń do równowagi budżetowej, lub utrzymywania stałości waluty, nie umniejszając też wartości dokonanych wysiłków, nie możemy uznać tego za wystarczające dla polityki gospodarczej państwa, naprawdę zasługującej na tę nazwę.

Weźmy dalej plan inwestycyjny i załóżmy, że zostanie on z największem powodzeniem wykonany. Mniejsza o to w tej chwili, czy taki optymizm jest uzasadniony. Otóż, nawet w tym wypadku nie otrzymamy odpowiedzi na interesujące nas pytanie. Plan inwestycyjny bowiem jest zespołem szeregu robót, z których część — jak naprzykład obwałowanie rzek — powinna być normalną funkcją państwa. Pozostałość zawiera w sobie różne ułamkowe prace o skali i zakresie, nie dających takiej całości, któraby bądź w wyraźniejszej mierze zaspokoiła jakieś określone wielkie potrzeby społeczne, lub gospodarcze, bądź też pchnęłaby rozwój gospodarczy kraju intensywnie i świadomie w określonym, z a m i e r z o n y m przez twórców tego planu kierunku.

Niewątpliwie w ramach powziętego planu dokona się wielu pożytecznych prac; niewątpliwie również sporo prac możnaby z pożytkiem pozostawić inicjatywie prywatnej, ale to wszystko razem nie daje żadnego oparcia dla jakiejś polityki gospodarczej zrozumiałej, jasnej dla wszystkich co do celów i środków. Nie chcemy w tej chwili dyskutować nad tem, czy jest wskazane z politycznego i gospodarczego punktu widzenia tworzyć nowe skupienie przemysłowe, czy nie lepiej byłoby dążyć do możliwego rozrzucenia przemysłu po całym kraju. Chcemy tylko powiedzieć, że jeżeli twórcy planu inwestycyjnego postawili sobie ten cel, to niezbyt pilnie go realizują.

Otóż plan inwestycyjny jest pod tym właśnie względem bardzo charakterystyczny dla naszych stosunków. Cechuje go połowiczność, niezdecydowanie, brak wyraźnej myśli przewodniej.

Podobnie przedstawia się sprawa w wielu innych dziedzinach. Weźmy np. zagadnienie cen. W oświadczeniach oficjalnych czytaliśmy, że zwyżka cen w Polsce powinna postępować stopniowo i powoli. Mniejsza o to, czy wogóle można stawiać sobie taki cel: Polska, tak samo jak i inne kraje, znajduje się pod wpływem ruchów cen światoych i trudno sobie stawiać podobne zadania w oderwaniu od ewolucji cen światowych. Ale cóż się stało z tym zamiarem? Dopuszczono do bardzo ostrej zwyżki cen drzewa, zachowano się obojętnie aż do ostatnich czasów w stosunku do zwyżki cen artykułów rolnych, utrzymano na niezmienionym poziomie niektóre ceny artykułów przemysłowych, które powinny były być podniesione wobec dużej zwyżki cen surowców (papier, żelazo), a ceny innych artykułów przemysłowych obniżono. Tak wygląda w praktyce powolna i stopniowa zwyżka cen w Polsce.

Okres poprawy konjunkturalnej jest okresem, który najlepiej nadaje się do przeprowadzenia głębokiej reformy świadczeń publicznych, które w Polsce są bez żadnej wątpliwości nadmierne, co pozwoliłoby na wzmocnienie całego obrotu gospodarczego. Na ten temat nie słyszymy ani słowa nawet o zamiarach. Przeciwnie, słyszymy o projektach wprowadzenia nowych obciążeń na rzecz samorządów, które — idąc zresztą za danym im zgóry przykładem — przez „odpowiednią" politykę personalną rozdęły wydatki na emerytury do takich rozmiarów, że załamują się pod niemi budżety samorządowe.

Przykładów takich moglibyśmy przytoczyć znacznie więcej. Natomiast trudno by nam było przytoczyć przykład konsekwentnego w pomyśle i wykonaniu zarządzenia z dziedziny gospodarczej. I dlatego też na pytanie jaka jest obecna polityka gospodarcza, musimy odpowiedzieć: polityki gospodarczej, rozumianej jako konsekwentna w założeniach i realizacji całość niema.

Nie jest tak, że najgorszą polityką jest zła polityka. Najgorszą polityką jest brak polityki. Stwarza on bowiem sytuację zupełnie nieokreśloną, nigdy niewiadomo, co jutro może się zdarzyć. Wszelkie zamierzenia, plany i prace obywateli są jakby sparaliżowane. Do złej polityki można się jakoś dostosować, można ją zwalczać, po pewnym czasie błędność takiej polityki staje się dla wszystkich oczywista i następuje nawrót do właściwszych metod. Niema przytem tak złej polityki, któraby nie miała i swoich dobrych stron, jeśli tylko jest konsekwentna w idei i uczciwa w wykonaniu. Ale najgorzej jest właśnie przy braku określonej polityki gospodarczej. Wówczas nawet osobista inteligencja i dobra wola rządzących nie ma większego znaczenia. Społeczeństwo znajduje się w impasie.

Stoi przed nami zadanie: jak wykorzystać poprawę konjunktury. Zadania tego nie będziemy mogli spełnić, dopóki nie stać nas będzie na wyraźną odpowiedź: czego chcemy i jak zamierzamy to osiągnąć. Wówczas, rozważając politykę gospodarczą, będzie można popierać ją lub zwalczać, bo wogóle jest o czem mówić.

Dzisiaj musimy pisać artykuł o niczem.

„...Polak z nieustraszonego stał się nad wszystko lękliwym, z wyniosłego podłym... stracił to hasło, którego naruszenie we wszystkich jedno czucie budzić powinno; bez wyobrażenia sprawiedliwości, największa nieprawość w nim krwi nie burzy; czyli to gwałt prawa, czyli posłuszeństwo prawu, równy w jego umyśle skutek sprawują... niema stałości ducha, na wszystko się zastrasza już nie czuje, iż milsza śmierć, niż niewola podła... I gdzież tu charakter Polaków?"

Stanisław Staszyc: „Przestrogi dla Polski".

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako jedyny z pozostałych przy życiu trzech członków komitetu, którzy zajęli się swego czasu bliżej sprawą Drzymały i jego wozu, proszę o zamieszczenie kilku słów dopełniających artykuł w Nr. 27 „Odnowy". Uważam, że jest to tem bardziej wskazane, ponieważ z powodu śmierci Drzymały sprawa jego nabrała ponownie rozgłosu i chociaż omawiana jest w prasie na ogół zgodnie z prawdą, niektóre szczegóły przebiegu i faktów doznały przeinaczenia i mogłyby być interpretowane na niekorzyść ś. p. Jarogniewa Drwęskiego i ś. p. Bernarda Milskiego, zmarłych dwu członków komisji, bez możności reakcji z ich strony.

Rzecz miała przebieg następujący:

Jesienią 1904 r. zgłosił się do mnie, jako kierownika biura Centralnego Komitetu Wyborczego Polskiego na Rzeszę niemiecką, Michał Drzymała z oświadczeniem, że z rozparcelowanego majątku niemieckiego nabył działkę kilku morgów magdeburskich (morga magdeburska = ¼ ha) i że w myśl obowiązującej ustawy o osadnictwie, starał się o pozwolenie na wybudowanie domu mieszkalnego, czego nie uzyskał. W stodółce, znajdującej się w jego zagrodzie, mieszkać i gotować strawy nie wolno; zapytuje tedy, czy ustawa przewiduje również zakaz posługiwania się w tym celu wozem wędrownym, jakiego używają cyganie?

Wspomniane biuro mieściło się w domu Marcina Biedermana, którego pasierbem był adwokat Jarogniew Drwęski. Poproszony na naradę, zabrał z sobą Bernarda Milskiego, ówczesnego redaktora pisma chłopskiego „Goniec Wielkopolski", później organu „Piasta" w Poznańskiem. Jako prawnik wyjaśnił, że o ile wóz nie będzie miał charakteru stałego mieszkania tj. będzie mieścił się nadal na kołach i będzie przesuwany z miejsca na miejsce, władze pruskie nie znajdą w ustawie argumentów, aby tego rodzaju siedzibę uznać za nielegalną. Niech zatem Drzymała zaopatrzy się na razie w taki wóz, a z czasem Komitet Trzech pomyśli o wygodniejszem pomieszczeniu.

Drzymała, zaopatrzony na drogę przez Marcina Biedermana, musiał powtórzyć przed na prędce utworzonym Komitetem wskazówki Drwęskiego co do wozu i ewentualnej jego obrony i udał się z powrotem do Podgradowic pod Rakoniewicami w pow. wolsztyńskim, niedaleko granicy prow. brandenburskiej. Robił wrażenie człowieka raczej mało rozgarniętego i nie imponował ani wyglądem zewnętrznym, ani postawą. Liczył wówczas 47 lat życia, był żonaty i miał dwu synów. Chociaż projekt jego wydawał nam się znakomity, mieliśmy wątpliwości, czy Drzymała jest tym człowiekiem, który zdoła przeprowadzić swój plan. Jak się niebawem pokazało, nie doceniliśmy go z pierwszego wejrzenia. Zdarza się, coprawda rzadko, że ludzie udają głupszych, niż są w istocie, a zdrowym swym rozsądkiem oraz energją, z jaką dążą do upragnionego celu, wywołują wprost podziw. Jeżeli do tego dodamy niesłychaną wytrwałość, przechodzącą w upór i zawziętość, i zdolność poprzestawania na najmniejszem, przechodzącą w głodującą oszczędność, będziemy mieli typ chłopa polskiego. Właściwości te, wysoko rozwinięte, wykazał Michał Drzymała.

Zgodnie z swym pomysłem nabył on zatem od cyganów, koczujących właśnie w tym czasie pod Grodziskiem, wóz obszerny, który miał go niebawem uczynić sławnym na całą Polskę.

Ubożuchne jego domostwo, składające się z niewielkiej stodoły i dość silnie przez czas nadwyrężonego, a przytem przewiewnego wozu zostało sfotografowane, opisane i niezwykły wypadek zaradnego chłopa, który umiał przeciwstawić się potędze pruskiej, rozpowszechniono w prasie. W odezwie było powiedziane, że trzeba pozostać przy koncepcji wozu, ale trzeba mu stworzyć mieszkanie na kołach możliwie wygodne i ciepłe.

Na apel ten zaczęły napływać datki z wszystkich stron Polski i od rodaków z zagranicy. Najwięcej zebrał „Dziennik Kijowski". W ciągu 1905 i 1906 roku wpłynęło razem po przeliczeniu przeszło 3000 mk. niem. Z funduszu Drzymały został zbudowany d r u g i wóz w Poznaniu, przy ul. Podgórnej, u powoźnika J. Degórskiego, który podjął się wykonania za zwrotem kosztów materjału. Nowa siedziba osadnicza składała się z sionki z podwójnemi drzwiami, kuchenki i sypialni z wpuszczanemi w ściany łóżkami. Podwójne ściany i dwa piecyki izolowane blachą chroniły od zimna i zabezpieczały od pożaru.

Podczas gdy wóz był w robocie, Drzymała zdawał nam często sprawę z podjętej przeciw niemu ze strony Komisarza powiatowego i landrata Bocka, akcji. Żandarmi, węszący dodatkowo za elementarzami, książkami i pismami polskiemi przy pilnowaniu porządku i bezpieczeństwa na wsi, musieli natknąć się na wóz — mieszkanie w Podgradowicach i złożyli oczywiście raport. Równocześnie gruchnęła w prasie polskiej i niemieckiej wiadomość o psocie, jaką wyrządził Drzymała władzom pruskim i jak umiał zakpić sobie z ustawy osiedleńczej. Podchwyciły ją pisma zagraniczne i wnet została wyświetlona cała działalność eksterminacyjna, skierowana drogą ustaw i przepisów wyjątkowych przeciw Polakom w zaborze pruskim: usunięcie języka ojczystego Berlin zażądał szybkiego zlikwidowania sprawy w wysokim stopniu drażniącej wysokie i najwyższe instancje, dbające zawsze o pozory wolności, prawa i sprawiedliwości. Ale Drzymała był nieczuły na groźby, prośby i nęcące propozycje. Mógł sprzedać za grube pieniądze swoją nędzną parcelę Komisji Kolonizacyjnej, albo nawet podstawionemu jej agentowi i kupić sobie zabudowaną należycie kolonję. Ale na upartego niema lekarstwa. Wielokrotnie wyrzucano mu piecyk z wozu Nr. 1 i od połowy r. 1906 po zamienieniu go N-rem 2-gim wyrywano oba ogniska — pod pozorem niebezpieczeństwa pożaru. Za ponowne ich wstawienie sypały się coraz większe grzywny, które przeważnie odsiadywał w areszcie. Wreszcie wytoczono mu proces za opór władzy i postawiono posterunek przy wozie, zabraniający do niego dostępu.

Formalnymi właścicielami wozu Nr. 2 byli trzej członkowie Komitetu, którzy wydzierżawiali go Drzymale za symboliczną 1 mk. rocznie. Otrzymaliśmy wezwanie zabrania go z Podgradowic, w przeciwnym razie będzie odstawiony i umieszczony na nasz koszt w Poznaniu. Nasz prawnik zwołał naradę kolegów i oświadczył nam, że dalszy opór byłby bezskuteczny. Wówczas zwróciliśmy się do Muzeum Narodowego w Krakowie, jedynego wówczas w Polsce miejsca, gdzie wóz mógłby być umieszczony na wieczną rzeczy pamiątkę. Kraków zgodził się na razie, ale wkrótce wezwał nas do zabrania wozu z powrotem, gdyż — jak nas powiadomiono — niema miejsca i środków na jego przechowanie. W końcu umieścił go w wilgotnym Barbakanie, gdzie z czasem uległ rozkładowi.

Po pozbawieniu ostatecznem możności zamieszkania na własnej ziemi, Drzymała zgotował władzom pruskim i rodakom trzecią niespodziankę. Z części doręczonej mu reszty składek wynajął sobie izbę w pobliskich Rakoniewicach i stamtąd odbywał codziennie pielgrzymkę do swojej parceli, którą uprawiał przy pomocy pozostałego z datków funduszu.

Widziałem go po raz ostatni w r. 1909. Był ten sam cichy, skromny, niepozorny chłopek wielkopolski, ciężko borykający się z losem, bez pozy najmniejszego bohaterstwa.

To co się działo dalej, wiem tylko ze słyszenia w Warszawie. Przetrwał na swej parceli najcięższe czasy jarzma pruskiego, wielką wojnę i 8 lat wolnej Rzeczypospolitej, o którą walczył swą nieugiętą wolą i niezłomnym charakterem. Odwdzięczono mu się za to w r. 1927 o d e b r a n i e m u k o c h a n e j z i e m i z a p o d a t k i, zamiast pozostawić mu dom i zagrodę właśnie na tym kawałku ziemi, z którego nie zdołała go usunąć przemoc pruska. Gdy brzydka ta sprawa nabrała rozgłosu, sejmik wojewódzki w Poznaniu przyznał mu zasiłek roczny a Państwowy Bank Rolny osadę w Grabowie w pow. wyrzyskim.

Wóz (Nr. 2) przywędrował w r. 1929 na wystawę do Poznania i resztka jego w formie jednej ściany znajduje się znów w Krakowie. Nietylko libelli habent sua fata.

Pogrzeb ś. p. Michała Drzymały, który dożył 80 lat, i udekorowanie trumny zasłużonego Polaka — jak to w Polsce jest w zwyczaju — orderem Polonia Restituta, zamyka zgrzytem bolesnym epopeę słynnego wozu opospolity proch. Tadeusz Sas - Jaworski.

siedleńczego w Podgradowicach. Został szary,

Od półtora miljarda do ćwierci miljona

Spożycie spirytusu w Polsce „ustaliło się" obecnie (1936) na 35.000.000 litrów, licząc czystego alkoholu (95°). Wynosi to — a mowa tylko o trunkach monopolowych — przeszło litr na głowę mieszkańca, biorąc w rachubę wszystkich: niemowlęta, abstynentów, kobiety, nawet ciężarne... Oprócz tego wieś — zwłaszcza kresowa—wypija pokaźne ilości samogonki, denaturatu etc., czego w powyższej rachubie niema.

Łącznie z miodem, piwem i wszelkiemi gatunkami wódek ludność Polski przepija rocznie w domu, w szynkach, na ulicach i wszędzie 1.440.000.000 złotych. Wydaje tę sumkę, nie wiele mniejszą od naszego zwyczajnego budżetu państwa, nie otrzymując w zamian nic, prócz trucizny, zaburzenia, nawet degeneracji.

Istnieje w samej Warszawie, Łodzi, Poznaniu i Katowicach kilkanaście tysięcy rodzin robotniczych, w których ojcowie nic nie przynoszą do domu w sobotę po wypłacie, bo przepijają wszystko, a do rodziny, to jest do swej nędzy wracają przeważnie w niedzielę, czasami w poniedziałek...

Nieraz zresztą w poniedziałek nie zjawiają się wcale do pracy. W broszurze p. Skiby mieści się interesująca tabelka, dotycząca robotników, nie stających do pracy w poniedziałki w jednej tylko hucie śląskiej (Falwy w Świętochłowicach). Na 2.485 zatrudnionych przeciętnie, w poniedziałki 1.380 nieobecnych; u Gieschego — „lepiej": na 16.929 — 6.166. Tych dniówek amatorom wódki nikt nigdy nie zwróci. Nie będą ich mogli nawet przepić...

Tak, więc w Polsce przepijamy co godzinę 164.830 zł. Jest to wartość kilometra najpiękniejszej, szerokiej szosy asfaltowej czy betonowej. Tempo: kilometr na godzinę! Rocznie 9.000 kilometrów!

Oczywiście znaczna część owego 1½ miljarda idzie na browary, wina zagraniczne, na zysk prywatnych fabryk, „godziwy" zarobek szynkarzy i kolonjalistów. Ogromna reszta stanowi wpływ Państwowego Monopolu Spirytusowego. Instytucja ta wykazała w ub. roku budż. ok. 200 miljonów czystego zysku. „Czysta" wódka daje „czysty" zysk.

Prawdopodobnie niewiele mniej straciło państwo w szpitalach, domach dla obłąkanych, w budżecie sądów i policji, dla której sobotnie popołudnia, noce i niedziele są okresem najbardziej intensywnej pracy.

Tyle straciło państwo. Naród — wielekroć razy więcej.

Może ktoś nie wie, że państwo walczy również „ze skutkami alkoholizmu" (z przyczynami, nie!). Ustawa o państwowym monopolu spirytusowym obowiązuje to przedsiębiorstwo do wypłacania 1% swych czystych zysków na cele walki z pijaństwem i leczenie zbyt gorliwych swoich klijentów.

Ale ustawy nie zawsze obowiązują tych, którzy je uchwalają, czy dekretują. Zamiast 2.000.000 zł. rocznie monopol państwowy daje na ten cel jakieś odczepne 260.000 zł.! Gdyby płatnicy podatkowi w ten sam sposób wypełniali ustawę o podatkach państwowych, to minister skarbu mógłby wytrzymać z budżetem tylko niecałe 2 miesiące.

A wytrzymuje 12. Chociaż z trudem.

I my z nim.

Abba.

UWAGI

...LA TRISTESSE DE TOUT CELA...

Smętna historja Smętkówny, która się stała Smętkiem, dostarczyła nielada żeru prasie brukowej i — humorystycznej. Sensacja była, niewątpliwie. Do wesołości jednak w gruncie rzeczy nie widzimy tak dalece powodów. Dwoistość, nieokreśloność fizyczna jest pewnego rodzaju ułomnością, więc raczej czemś smutnem, niż rozweselającem. Jedyną rzeczą przyjemną jest tutaj potęga wiedzy, w tym wypadku medycyny, dzięki której upośledzona w swojem rozdwojeniu jednostka powraca do szeregu istot normalnych. Coprawda, ludzie wtedy dopiero śmiać się przestają. Oh, la tristesse...

„ISTOTA DUCHOWA CZŁOWIEKA JEST JEDNOLITA".

Gorzej, gdy istota d u c h o w a, czyli t. zw. osobowość człowieka, ulega rozdwojeniu. Tu już trudniejszy jest ratunek, i sprawa jest jeszcze cięższa. Wchodzi już bowiem w grę p o c z y t a l n o ś ć umysłowa i moralna.

To też w głośnym procesie, który odbył się niedawno, sędzia, o nazwisku, otoczonem, nawiasem mówiąc, powszechnym w Polsce szacunkiem, — motywując wyrok, stwierdził: Nie jest zniesławieniem takie czy inne pochodzenie człowieka. Ale obelgą jest zarzut rozszczepienia d u c h o w e g o, dwoistości motywów, dążeń i — postępowania, jak w danym wypadku przy przezwiskach: Żydo - endek, Żydo-Polak etc. Albowiem „istota duchowa człowieka jest jednolita".

DR. JEKYLL I MR. HYDE.

Krańcowo potworny obraz rozszczepienia osobowości oglądaliśmy w głośnym, ze znanej powieści przerobionym, filmie: „Dr. Jekyll i Mr. Hyde".

Rozszczepienie duchowe doprowadzone tu zostało do ostateczności, znajdując wyraz w dwu odrębnych istotach fizycznych, uosabiających kolejno dwie istoty duchowe, złączone w jednej. Kolejno występuje to piękny, szlachetny, kulturalny, uczony profesor dr. Jekyll, to ohydny, nikczemny, prymitywny, amoralny barbarzyńca, Mr. Hyde.

Mr. Hyde nic nie wie o tem, co czuł, myślał, postanawiał i czynił, jako dr. Jekyll. Ściślej, wiedząc nawet, pamiętając, wie i pamięta o tem, jako czemś odrębnem i obcem mu, sam bowiem czuje, myśli, postanawia i działa inaczej, djametralnie przeciwnie.

Wrażenie jest niesamowite, wręcz przerażające.

Uświadamiamy sobie, patrząc na to, jak dalece jednolitość postawy duchowej charakteryzować musi rzeczywiście istotę, która ma być godną miana człowieka.

To są uwagi, które nasuwają się po aferze Smętkowej i po głośnym procesie, które to dwa zdarzenia nastąpiły niemal bezpośrednio jedno po drugiem.

JĘDRZEJEWICZ REDIVIVUS.

Prasa codzienna donosi, że w Sejmie, który jakoby ma być zwołany na nadzwyczajną sesję, p. minister oświaty złoży projekt noweli do akademickich ustaw Jędrzejewicza. Podobno nowelizacja ma iść w kierunku b a r d z i e j j e s z c z e z a o s t r z o n e g o o g r a n i c z e n i a a u t o n o m j i w y ż s z y c h u c z e l n i.

Pogłoska ta wywołuje zrozumiałe wrażenie, wobec faktu, że p. minister Świętosławski przed 4 laty, jako profesor politechniki warszawskiej, energicznie się przeciwstawił dążeniom ówczesnego ministra Jędrzejewicza do ograniczenia autonomji uniwersyteckiej i stanowisko swoje w znanej księdze zbiorowej gruntownie uzasadnił.

„KOGO ZŁY LUD NIENAWIDZI"...

„ABC" z 11 b. m. zamieszcza dłuższy artykuł ks. prof. St. Trzeciaka, poświęcony zaburzeniom na wyższych uczelniach. Autor stwierdza, że nie umiano sobie niestety z młodzieżą poradzić w drodze nieodzownych tutaj nadewszystko wpływów autorytetu m o r a l n e g o, że musiano się odwołać aż do siły f i z y c z n e j i przekazać „swą władzę szczytną w ręce władz bezpieczeństwa".

Poczem szanowny autor pisze:

„...Sternik nawy oświatowej, wskutek działalności którego zwiększyła się i stale zwiększa się burza, jeśli nie ma tyle odwagi, by za Jonaszem powiedzieć: „Jeśli przezemnie powstała ta burza, to wrzućcie mnie w morze", to przynajmniej niech powie: „robiłem, jak umiałem, a lepiej niech zrobią inni". Prawo kanoniczne, oparte na wiekowej mądrości, w podobnych wypadkach aplikuje wyrok: „quem mala plebs odit, cedere debet", „kogo zły lud nienawidzi, powinien ustąpić"...

Tenax.

Osobliwy paradoks

Paradoksem jest, gdy pisarz opozycyjny musi bronić kwietniowej Konstytucji. Gdyby ktoś twierdził bowiem, że jest ona szczytem doskonałości, mógłby napotkać na niewiernych. Ograniczoną przecież jest ludzka inteligencja. Nie wszystkie też na świecie wiekopomne dzieła znajdowały uznanie współczesnych. Ileż to razy ciemnota trjumfowała zwycięsko nad wiedzą i rozumem! Gdyby kto dzisiaj zapytał nawet p. Sławka, czy dumnym jest ze swego tworu, nie zaprzeczyłby może, ale mógłby się znaleźć w niezgodzie ze swem samopoczuciem. Nie było bowiem jeszcze takiego prawodawcy, któryby miał gwarancję, że ustawy przez niego tworzone będą też stosowane przez niego. Im zaś elastyczniejszą w interpretacji jest ustawa, tem silniej lubi przypominać kij o dwuch końcach. Prawo tworzone sub specie czy interesów kliki, czy też politycznego spekulanta nieraz już w świecie przypominało słuszność polskiego przysłowia: „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada".

W pierwszym punkcie swej „deklaracji" pisze wyraźnie p. Koc: „normę naszego wewnętrznego życia stanowi Konstytucja kwietniowa. Jest ona podstawą ładu i porządku w państwie".

Deklaracja ta była aprobowana publicznie przez najwyższe czynniki państwowe i wojskowe.

Aż tu nagle niejaki Galinat, major wojsk polskich, grozić zaczyna społeczeństwu w sposób sprzeczny zarówno z deklaracją jak i Konstytucją! Groźba ta przeszła szczęśliwie przez cenzurę! „Polska Zbrojna" nie była za ten artykuł przez władze skonfiskowana! Major Galinat nadal zajmuje tę samą pozycję.

Podkreślano już wielokrotnie, że artykuły „Polski Zbrojnej" są dziś wyrazem intencji naszej armji. Armja ta w tym tygodniu obchodzi dwuletnią rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego. Podpis tego Marszałka jeszcze nie obsechł może dobrze na akcie Konstytucji. Podpis ten był ostatnim jego czynem politycznym. Czy w tem świetle pan major Galinat jest w zgodzie z intencją armji poszanowania wskazań i woli zmarłego Marszałka? Czyli też armja nie jest z tej Konstytucji dość zadowoloną, skoro mu jego wystąpienie uszło, jak dotąd, na sucho? W każdym jednakże razie trzeba z respektem skłonić głowę przed bohaterstwem majora Galinata. Nie byle to mołojec, który chce z garstką „obozіaków" na cały naród się rzucić! To już nie jakiś tam Hannibal czy Aleksander Macedoński, to już sam Galinat! Ma wszelkie dane, by skończyć wysoko.

Mając swój Sejm i Senat, może obóz rządzący zmieniać jak chce Konstytucję. Ma do tego otwarte wszelkie możności prawne. Im zaś mądrzejszym jest człowiek, tem też chętniej poprawia swe omyłki. Ale jest dużem uchybieniem przeciw moralności publicznej omijanie dróg prawnych i kształcenie narodu w braku szacunku dla ustaw. Wierzę, że po tych dwuch latach mógł już obóz majowy nabrać co do tej Konstytucji odpowiedniego jej poziomowi przekonania. Ale jeżeli nawet szacunek dla tego dzieła nie jest wystarczającym, nikt nie ma prawa podkopywania Konstytucji tak długo, póki obowiązuje. Możnaby łatwo uciszyć płacz narodu, gdyby nagle została zmienioną. Ale nie można dopuszczać, by byle kapral mógł na ustawę zasadniczą w państwie wyciągać bagnet. Wtedy bowiem żadne obchody i mowy na jej cześć nie pomogą. Będą zawsze przypominały przemówienie, wygłoszone przez tego studenta we Lwowie, który żegnając zamkniętego już w trumnie profesora zawołał: „bądź zdrów profesorze".

Śniło się może autorom tej Konstytucji, że na jej mądrych artykułach będą jak orly na skrzydłach szybować i trzymać się w górze. Inaczej jednak się stało. Jeszcze nieraz będziemy patrzyli, jak pincetkami jej sprytnych postanowień szło będzie skubanie orłów tak długo, aż się z tych dumnych ptaków zostaną ledwo pulardki, gotowe do przetrawienia na nawóz przestrogi dla przyszłych pokoleń.

S. O. S.

LEON TOMNICZAK.

Z frontu teatralnego

BIEDNY „POLSKI AUTOR".

Z powodu naszej wzmianki o stosunku teatrów T. K. K. T. do polskich autorów, opartej na zestawieniu cyfrowem W. Grubińskiego, nadsyła nam jeden z czytelników ciekawe uzupełnienie tej statystyki, tyczące także innych teatrów. Szczegóły to pełne w istocie drastycznej wymowy:

„W pięciu teatrach dramatycznych T. K. K. T. i trzech prywatnych, grano w tym sezonie do końca kwietnia 41 sztuk, z czego zaledwie 16 (szesnaście!) polskich. Wśród pozostałych 25 sztuk obcych, tylko 4 były klasyczne, a więc nie obciążone obowiązkiem płacenia tantjemy. Co do teatrów muzycznych, opera dała wogóle dwie nowości, obie niemieckie, operetki przy ul. Karowej i „8.15" dawały wyłącznie repertuar obcy; nawet sezonowy teatr przy ul. Chłodnej wystawił 3 farsy tłumaczone i tylko jedną sztukę polską. Z tego można wyrobić sobie wyobrażenie, jak ogromny haracz płaci Warszawa corocznie agencjom autorów obcych tytułem tantjem autorskich".

Czy nie słuszne wobec tego jest żądanie, ażeby chociaż ministerstwo skarbu zainteresowało się bezmyślnem trwonieniem polskiej waluty na sprowadzanie literackiego śmiecia z zagranicy? Bo przecie trudno wymagać od teatrów, kierowanych przez sekretarza Polskiej Akademji Literatury, żeby przestały dobrowolnie napychać kieszenie drugorzędnym fabrykantom cudzoziemskiej tandety...

*

A choćby nawet i nie tandety? Czy w wyborze repertuaru obcego przebija u nas jakaś myśl artystyczna, — jakaś myśl wogóle? Nie zwrócono dotąd uwagi na to, że Warszawa jest bodaj jedynem miastem na świecie, gdzie sztuki G. B. Shawa gra się bezmyślnie od lat kilku w permanencji. Co jeden teatr przestanie, drugi zaczyna. Bez względu na to, że problemy jednych sztuk mocno wypłowiały z biegiem lat, inne wogóle na naszym gruncie nie są aktualne i że jakość dowcipu irlandzkiego kpiarza nie spotyka się już z bezkrytycznym zachwytem. Można mieć wątpliwości, czy koniecznie potrzebna była nam światowa premjera ględzącego „matołka", lub czy głęboko antymilitarny sens „Żołnierza i bohatera" kwalifikował tę komedję na jedną z urzędowych scen warszawskich w obecnych warunkach.

A tymczasem polscy autorzy...?

*

Polskich autorów perypetje w naszych oficjalnych teatrach ilustrują dosadnie listy Wacława Grubińskiego i Stanisława Miłaszewskiego, opublikowane temi dniami w prasie.

Pierwszego z nich komedję „Lola Montez" zapowiadał na ten rok Teatr Polski w urzędowym miesięczniku T. K. K. T. Dyr. Szyfman obiecywał sobie nawet w swoim wywiadzie, że „niezmiernie interesująca postać Ludwika bawarskiego, tego artysty na tronie, będzie jedną z atrakcyj komedji". Widocznie później pożałowano zbyt pohopnej decyzji, bo na tle różnic co do obsady sztuki, zrezygnowano co prędzej z jej grania. Autor złożył ją wtedy w Teatrze Narodowym i dopiero po kilku miesiącach, pośrednią drogą przez polemiczny list dramaturga tego teatru, dowiedział się, że sztukę odrzucono, jako za lekką na poważne mury naszej pierwszej sceny.

Stan. Miłaszewskiego dramat „Bunt Absalona" przyjęto do grania w zimie 1935 r. i na wiosnę w tymże sezonie zapowiedzianego w komunikacie, jako najbliższą nowość Teatru Narodowego. Do wystawienia jednak nie doszło. Na ten sezon zapowiedział go dyr. Solski, zastrzegając się już zgóry, że „terminu wystawienia nie może jeszcze ustalić". Zbliża się koniec drugiego sezonu i terminu jeszcze ciągle nie zdołano ustalić.

Wszystko to spotyka polskich autorów, którzy nieraz dotąd zdobywali wielkie sukcesy kasowe w Warszawie (a to podobno jedyny argument dla T. K. K. T.!). Spotyka ich w teatrze, w którym bez ceremonji obala się ogłoszony repertuar, żeby jak najprędzej zrobić miejsce na „Księżyc w żółtej rzece" i przepędzić nim na długo widzów ze sali; w którym wydaje się lekko kilkanaście tysięcy na wystawę, żeby uskutecznić, łatwe do przewidzenia, fiasco „Fieska"; w którem wyrzuca się w błoto kilka tysięcy franków, na zaliczkę przeróbki powieści Flauberta, żeby jej potem wcale nie grać...

*

Nasze ministerstwo kolei, po kilku za często powtarzających się katastrofach w rejonie jednej dyrekcji, zastosowało oryginalny system karania winnych. Posypały się dymisje nietylko wśród niższych funkcjonarjuszy, oraz wśród ich bezpośrednch przełożonych, ale także i po całej drabinie hierarchicznej w górę, aż do najwyższego szefa odnośnego resortu. Celowość tych zarządzeń rozmaicie oceniano. Za to, jakby takie drakońskie metody mogły oczyścić atmosferę w „resorcie" kultury! Nie dymisje dramaturgów, pozbawionych egzekutywy, lub dyrektorów, którymi dyrygują inni, niewidzialni. Ale jednego dnia„ prezesa T. K. K. T., nazajutrz paradjerów i figurantów z zarządu, który niczem nie zarządza i niczego nie pilnuje, a wreszcie, z wielkim trzaskiem, obu nierozerwalnych Djoskurów z P. A. L. i Wydziału Sztuki, którzy zagarnąwszy monopol kulturalny, etapami ciągłych kompromitacyj znaczą drogę nie krzewienia ale zohydzania sztuki.

Tylko, ktoby im te dymisje dał, kiedy władzę nadali sobie sami?...

„Rozwiej się
Złudny śnie" — — — (jak śpiewają w którejś operze.)

Trzy minuty ciszy — lepiej by w tej chwili — trzy minuty... s z c z e r z e mówić pozwolili?

Gryf.

KAROL PIOTR GÓRSKI.

Powrót zawiedzionych pielgrzymów

W ślady André Gide'a, który, jak wiemy, powrócił z Sowietów z uczuciem rozczarowania i zawodu, udał się niedawno w podróż do Rosji Louis Céline. Rola autora głośnej „Podróży do kresu nocy" była dużo bardziej odpowiedzialna, niż jego poprzednika. Gide swoją biografją i twórczością należy do artystów, pozostających raczej w wieży z kości słoniowej. Co innego Céline, który z racji swego zawodu lekarskiego przez długi czas nurzał się w gehennie życia proletarjatu paryskiego, i zszedłszy aż na samo jego dno, przedstawił później światu potworny obraz nędzy ludzkiego istnienia.

Któż inny był więcej od niego powołany, aby zdać sprawę, czy w porównaniu z ustrojem kapitalistycznym państwo sowieckie może przynieść człowiekowi wybawienie od krzywdy, oraz, w jakim stopniu zostało to już tam zrealizowane. Jadąc do Rosji, Céline powtarzał sobie może w duszy za Duhamelem, który zwiedził Sowiety po upływie pierwszego dziesięciolecia ich trwania: „Nieprzeliczone tysiące będą żądały rachunku z mej podróży — nieprzeliczone tysiące oczekują na mnie, aby im dać wyjaśnienie i pouczenie" („Podróż do Moskwy").

Pozostawiał za sobą całe morze brudu materjalnego i moralnego, i bezdeń upiornej grozy ludzkiego bestjalstwa. Może nareszcie wydobędzie się z tego straszliwego zaduchu, może tam w Sowietach zobaczy „trochę światła", które rozjaśni noc życia.

Człowiek, jego zagadka, jako tajemnica, oto naczelny problem u Céline'a. W komuniźmie — przyznaje się na wstępie swej ostatniej książki p. t. „Mea culpa", będącej rezultatem tej podróży — widział możność zobaczenia człowieka bez maski, z jego prawdziwemi „instynktami, cierpieniami, intencjami". Teraz będzie mógł zejść do podziemi jego duszy i ujrzeć granicę jego zakłamania. Jeżeli w systemie, panującym w ustrojach europejskich, polegającym — zdaniem Céline'a — na eksploatacji słabych przez silnych, było mu trudno dotrzeć do prawdziwych pokładów istoty ludzkiej, to w ustroju komunistycznym spodziewał się znaleźć czysty, niczem nieskażony materjał, nadający się do badania.

Dla burżuazji nie żywił, jak wiemy, i jak potwierdza jeszcze w „Mea Culpa", żadnego współczucia. Jej ewentualna agonja nie wzruszyłaby go wcale, gdyż widzi w niej klasę tyrańską, chciwą, obłudną, pozostającą w rozkładzie. Konstatuje pustkę jej narcyzmu i ograniczoność. Co innego zaś proletarjusz, uwolniony od więzów burżuazji i jej własności.

Dla skwalifikowania stosunków, panujących w Sowietach, Céline przeprowadza porównanie ich z Francją, caratem i społeczeństwem północno - amerykańskiem. Stwierdza, że, mimo wszystko, najwięcej zniszczona jest godność ludzka w Sowietach. Proletarjusz w ustroju francuskim znajduje się w lepszem położeniu od sowieckiego. Co do caratu, to więźniowie polityczni w osławionym Petropawłowsku nie byli tak strzeżeni, jak obecnie cała ludność rosyjska przez swoje rządy, które odebrały jej nawet wolność myślenia. A co się tyczy Ameryki, to, czy właściwie jest różnica między rozwielmożnionym maszynizmem

Stanów Zjednoczonych a Sowietów? I tu i tam panują te same hasła: postęp i wzrost produkcji bez uwagi na konsumenta. I tu i tam maszyna przygniata człowieka. Poprzez biura i maszyny zapomniano o samych ludziach. Tylko że w miejsce poszczególnych przedsiębiorstw prywatnych, jak w Ameryce, samo państwo rosyjskie stało się nieubłaganym, wyciskającym wszystko dla siebie Fordem.

Jeżeli poza Rosją zachodzi wyzyskiwanie słabych przez silnych, to przynajmniej nie głosi się tam równocześnie haseł kollektywnych. W Sowietach zaś mimo szumnych zapowiedzi nie troszczą się o człowieka, nadal człowiek jest dla człowieka tyranem.

Jaskrawo przedstawia to Céline, podając niektóre szczegóły życia w obecnej Rosji.

Powszedni dzień tamtejszego obywatela, to praca ciężka jak w fabrykach Forda, które tak dobrze zna i opisuje Céline w „Kresie nocy". Na pociechę nie zostaje pracującym nawet poczucie równego podziału dóbr wobec niezmiernej rozpiętości płac (np. inżynier pobiera 7 tysięcy rubli, a pokojówka pięćdziesiąt rubli). Czy przynajmniej pieniądze wyciskane z pracy obywateli idą przedewszystkiem na wspólne cele kulturalne? Nie, gdyż wydatki na policję, propagandę i armję zajmują aż 9/10 budżetu Rosji dzisiejszej.

Nie pozwolono obywatelom sowieckim zakosztować w zamian za to chociaż atmosfery wolności. Pozostają oni stale pod dozorem policji, i to — jak się wyraża Céline — najpodejrzliwszej i najbardziej sadystycznej na całej planecie. A po zakończeniu pracy wolno im tylko nudzić się lub patrzeć na komisarzy pędzących Packardami. Z więzienia caratu przeniesiono Rosjan do gorszego, do potwornych koszar pracy, odcinając ich bezwzględnie od zagranicy. A gdy kto zachoruje, nie znajdzie odpowiedniej opieki i traktowania, bo tego nie mogą zapewnić brudne i niehigjenicznie urządzone szpitale. Stan gorszy o wiele od przedstawionego w „Kresie" życia robotnika, który „przeżarty pracą, nie wie już, co robić i co myśleć, a niema na tyle, aby pić".

Jedyna pociecha to niewiedza przyszłości — stwierdza z ironją Céline, zapewniając, że gdyby zorganizowano w Rosji instytucję „Exturist'a", obywatele sowieccy wyjechaliby i nie wracali wcale do swego kraju. Siedzą zamknięci jak w klatce, sterroryzowani, a kto stawiał opór, został rozstrzelany.

Cały ten koszmarny stan wypływa stąd, że rewolucja nie dotarła do ducha, zatrzymując się tylko na materji. Niema w Sowietach idei, jest jedynie nowy ustrój materjalistyczny. Komunizm obiecywał szczęście, rozbudzając pychę i ukazując złudne miraże wielkości człowieka jako jedynego pana ziemi. Ale sławiony przezeń „postęp", który nie uwzględnił ducha, nie zmienił nic, a wywołał nawet jeszcze gorszy stan — przyniósł do podziału więcej udręk niż radości. Rozwijają się nadal żerowania egoizmów, z powrotem wróciło władztwo pieniądza. Zwyciężyli nie najlepsi, ale najbardziej chytrzy i najbrutalniejsi. Oto przekleństwo komunizmu wyłącznie materjalnego. Istnieje w Rosji tylko system komunistyczny, ale niema komunistów — reasumuje Céline. Panuje jedynie ogólne zakłamanie.

Znów jedno więcej zdemaskowane złudzenie, powiększające arsenał pesymistycznych argumentów autora. Jakże prawdziwe okazały się słowa Duhamela: „Komunizm nie liczy się ani z uczuciami, ani z namiętnościami, ani z potrzebami duszy. Poświęca jednostkę dla losów grupy".

Zawód, doznany przez Céline'a jest dużo srozszy niż u Gide'a. Ten ostatni zwątpił w realizację komunizmu przez Sowiety, ale nie w sam komunizm. Céline po swej podróży do Rosji odrzuca komunizm, nie widząc w nim twórczej mocy na przyszłość.

Cóż pozostaje? Odwrót w pustkę przez szlak berezyński, jak niegdyś pobity Napoleon, wśród rozprószonych pułków marzeń, nadziei i wiary. Na drodze życia widzi tylko biel lodu, zimnego jak każda materja, pozbawiona ducha.

Trzeba oczyścić świat przez ideę! — woła Céline z rozpaczą, ale nie umie jej ani nazwać, ani znaleźć.

A może mógł ją zobaczyć już w samej swej książce, w tych ustępach, gdzie, mimo, że jest przeciwnikiem chrześcijaństwa, wyrywa się mu z goryczą wyznanie: W średniowieczu byliśmy więcej złączeni niż dzisiaj — istniał zmysł wspólnoty ludzkiej. Religje chrześcijańskie łagodziły cierpienia życia, obiecując zbawienie duszy po przebyciu próby w doskonałej pokorze...

Pokora... Czyżby może i ona — choćby podświadomie — podyktowała autorowi znamienny tytuł jego książki: Mea culpa? Pokora — czyż nie ona jest wstępną drogą dla dotarcia do istniejącej, ale jeszcze przez Céline'a nie dostrzeganej idei, która jedna zdolna jest zapewnić „oczyszczenie świata"?

Przegląd Prasy Krajowej

„PRĄDY INDUKCYJNE".

Pod tym tytułem umieściła „Gazeta Polska" z dn. 6 maja artykuł polemiczny, w którym sporo miejsca poświęciła artykułowi „Odnowy" z dn. 2 maja p. t. „Toast bukareszteński". Chętniebyśmy podjęli dyskusję o podróży do Bukaresztu p. min. Becka i jej rezultatach. Sądzimy, że byłoby o czem podyskutować. Zwłaszcza na wysunięty przez nas, a zacytowany, lecz bynajmniej nie wyjaśniony i nie zbity przez „Gazetę" temat „konjunkturalności" naszej oficjalnej polityki zagranicznej i srpzeczności oświadczeń p. min. Becka w Londynie i Bukareszcie. Niestety w artykule „Gazety Polskiej" rzeczowego materjału do dyskusji nie znaleźliśmy. Bo nie możemy uważać za rzeczowy argument ani rozróżniania pomiędzy dwoma rewizjonizmami, z których jeden, ten, o którym my pisujemy, wiąże się z pojęciem granic, a 2-gi, o którym podobno mówi p. min. Beck, rzekomo z nim się nie wiąże, ani tem mniej insynuacji, że ulegamy „prądom indukcyjnym" z Paryża i—Moskwy! I bez pouczeń „Gaz. Polskiej" dobrze rozumiemy, że trwałości granic decyduje w ostatniej instancji „niezłomna decyzja ich obrony i — siła". Tylko pamiętamy równocześnie, że zadaniem dobrej polityki zagranicznej jest niedopuszczenie do rozstrzygania tych spraw w ostatniej, wojennej instancji, a jeśli już jest to nieuniknione, to stworzenie dla tego rozstrzygnięcia możliwie najkorzystniejszych warunków. O to w dyplomacji chodzi i to załatwia się jednak właśnie — atramentem, którym podpisuje się umowy międzynarodowe i akty sojuszów. Rozumiemy też to, czego nie rozumie, zdaje się, „Gazeta Polska", że pozornie akademickie spory o ten czy inny paragraf np. paktu Ligi Narodów ostatecznie mają swój praktyczny sens, który w momencie decydującym wyraża się już w cenie przelanej krwi. I dlatego wolimy być ostrożni z wszelkim rewizjonizmem. Boć tym, którzy patronują mu z Berlina, napewno nie chodzi o akademicką dyskusję. Z insynuacjami zaś wogóle z zasady ne polemizujemy. Możemy nad niemi tylko ubolewać. Pamiętamy „orjentacyjne" spory wojenne. Czytelnik gazet obu obozów z tego okresu musiałby był dojść do wniosku, że w Polsce działali tylko agenci dwu walczących stron, obcych mocarstw, że polityki wyłącznie polskiej wcale nie było. Nie mamy ochoty wracać do tego okresu. Radzimy tedy „Gazecie Polskiej" insynuacjami nie wojować. Zwłaszcza, że ostatecznie i ten kij ma również dwa końce. My nie uciekamy się do taniego argumentu „indukcyj" prądów berlińskich nawet wówczas, gdy koincydencje, jak np. w Bukareszcie, są niezwykle frapujące. Ale też radzimy przestrzegać — wzajemności. (W. N.).

KARTELIZACJA POLITYCZNA.

Na temat zasadniczych prądów współczesnych w polityce i w życiu gospodarczem zamieszcza znamienne spostrzeżenia prof. R. Rybarski w *Warszawskim Dzienniku Narodowym*. Obserwuje mianowicie w obu tych dziedzinach równoległy pęd ku monopolizacji:

> „Istotą kartelu jest monopolizacja, dążenie do wyrugowania współzawodnictwa. Pewna grupa wytwórców łączy się, by opanować rynek, uregulować zbyt i ceny, nie dopuścić do konkurencji. A gdy w polityce pewna grupa, opanowując źródła władzy i jej narzędzia, stara się ustabilizować swój stan posiadania, usunąć współzawodnictwo i stworzyć monopol polityczny, mamy zjawisko, które bardzo wyraźnie przypomina kartel przemysłowy.
>
> Członkowie takiego kartelu rozporządzają kapitałem, pewną zdobytą pozycją w przemyśle i ciągną z tego dochody. Kartel polityczny również rozporządza pewną zdobytą pozycją, chce utrzymać swoje uprzywilejowane stanowisko. Musi jednak w opinji publicznej usprawiedliwić rację swego bytu, uzasadnić swe pretensje monopolistyczne. Musi powołać się na jakiś moralny kapitał, który mu daje prawo do odsetek. Te kapitały są rozmaite. Np. można w ten sposób eksploatować swoje „zasługi", ciągnąć od nich procenty. Kto nie legitymuje się „zasługami", ten nie uczestniczy w kartelu. A jego uczestnicy czerpią te procenty albo w postaci sprawowania władzy, albo też poprostu w postaci korzyści, które daje władza. „Zasługi" stają się niejako kapitałem zakładowym kartelu politycznego".

Analogja idzie dalej. Widzimy w kosztach, poborach i tantjemach kierowników, w procesie kostnienia:

> „Kierownictwo kartelu ulega zbiurokratyzowaniu. Zanika rzutkość, inicjatywa, chęć szukania nowych kombinacyj produkcyjnych. Zamiast zysku, połączonego z ryzykiem, zysku zdobywanego we współzawodnictwie i walce, płynie bezpieczna renta, którą dzielą się uprzywilejowani. I w kartelu politycznym widzimy podobne objawy. Posługuje się on bardzo dogodnym dla siebie mechanizmem rządzenia, usuwającym współzawodnictwo. Nie chce walczyć o swe stanowiska na zasadzie równości, nie walczy jakością swych produktów, to znaczy wartością idei, lecz mechanicznie usuwa konkurencję. Nic dziwnego, że wtedy zjawia się skostniałość i pustka ideowa, że biurokracja polityczna nie może pchnąć naprzód politycznego życia".

Nawet w szczegółach zaznacza się podobieństwo. Czyż słynne odszkodowanie „za próżnowanie" nie znajduje odbicia w synekurach, przyznawanych tym, których trzeba wycofać z kierowniczego stanowiska?

„Ale warto nad tem pomyśleć — pisze w zakończeniu prof. Rybarski — czy ta sztywna, skostniała forma kartelu politycznego odpowiada potrzebom narodu i państwa, czy zdolna jest z niego wydobyć najwyższy wysiłek i najwyższe wartości polityczne. I warto też nad tem się zastanowić, czy życie narodu, które idzie naprzód, zdoła się pomieścić w tej formie. Różne są kartele przemysłowe i rozmaicie można je oceniać. Kartel polityczny jest jeden i jeden tylko można mieć sąd o nim".

O POZIOM ETYCZNY.

Artykuły z zakresu etyki nie są zjawiskiem częstem na łamach prasy codziennej.

Mówi się o nich, że są nudne, że odstręczają czytelnika, że żywe pismo takiej „tępej piły" nie jest w stanie wytrzymać.

Za tem większą zasługę należy poczytać *Polonji*, że nie bacząc na owe stereotypowe a płytkie powiedzonka, ale bądź co bądź w warsztatach redakcyjnych utarte, porusza w śmiałym artykule jedną z największych powojennych bolączek: brak charakterów. Tembardziej, że zło spowszedniało, żeśmy się do niego przyzwyczaili, że stało się poprostu normą, od której odstępstwo wywołuje zdziwienie.

„To, co dawniej wywoływałoby oburzenie, wzbudzało pogardę, wytrącało poza nawias życia towarzyskiego czy społecznego nawet, dzisiaj nie wywołuje żadnego więcej wrażenia — albo, co najwyżej, wzruszenie ramion.

Nastąpiło całkowite przytępienie wrażliwości, zobojętnienie, zanikł zupełnie krytycyzm społeczny, społeczna ocena wartościowania charakterów, będąca jednym z najdonioślejszych regulatorów moralności i etyki indywidualnej."

Analizując najjaskrawsze przejawy braku charakterów, autor (sg) rozróżnia trzy zasadnicze kategorje. Pierwszą, dzisiaj tak niepomiernie liczną w różnych krajach,

„bez przesady scharakteryzować można jako pasożytów na organiźmie społecznym. Są to bowiem stworzenia wyzute z wszelkiego poczucia moralności i etyki, co więcej, zrozumienia przyzwoitości i jakiegoś, chociażby najprymitywniejszego umiaru w swych z niskiego egoizmu, chęci użycia wypływających poczynaniach i dążeniach; mając za to wysoce rozwinięty „zmysł rzeczywistości", doskonałe wyczucie konjunktury, potrafią zawsze stać u żłobu a w każdym razie niedaleko odeń, czerpać korzyści bez miary, łączyć w swym ręku najbardziej intratne synekury, cynicznie wzbogacać się groszem publicznym, podczas gdy inni cierpią głód i nędzę."

Druga, to ci,

„którzy inaczej myśląc i czując, czynią wiele wbrew swemu sumieniu z obawy przed utratą chleba, potrzebnego dla wyżywienia siebie i najbliższych, którzy nieraz ze łzami w oczach wyznają, że nie mogli byli postąpić inaczej, w trosce o żony i dzieci."

Jest wreszcie trzecia kategorja, „najboleśniejsza, jak ją autor nazywa:

„Ludzie dobrze sytuowani, zabezpieczeni na starość, opływający w dostatki, nic zatem nie ryzykujący, a mimo to przesiąknięci do szpiku kości jadem oportunizmu. Oni to, nie szczędząc w cztery oczy słów krytyki i potępienia tego, co się dzieje, stosunków, jakie panują, obawiają się wypowiedzieć głośniejsze słowo krytyki publicznie, wystąpić w obronie chociażby najświętszych praw, by tylko się nie narazić! Ba! jakżeż często się zdarza, że nie kryjąc i nie tając swych sympatji w czterech ścianach dla tych, którzy walczą ze złem, obawiają się z nimi zetknąć, gdy może to ktoś zauważyć! Obawiają się nietylko wziąć do ręki, gdy może to ktoś zauważyć, w klubie czy kawiarni, pismo opozycyjne, ale nawet organ taki prenumerować, by im to nie zaszkodziło!

I ci są najgorsi. Mając sumienie, dopuszczają się świadomie prostytucji, bezczeszczą to, co człowiek ma najświętszego, ideały wiary i ludzkości, dla jakichś problematycznych czy też hipotetycznych korzyści. I oni to są główną ostoją reżimów".

A. W.

Z Prasy Zagranicznej

ECHA.

Odgłosy wizyty ministra Becka w Bukareszcie nie schodzą ze szpalt prasy europejskiej, a zwłaszcza francuskiej. Wypowiadają się w tej sprawie pisma wszelkich odcieni politycznych. Podstawą komentarzy był komunikat Ajencji *Sud-Est*, która rozmowy bukareszteńskie podała w następującym skrócie:

„Potwierdza się, że w toku rozmów pułkownika Becka z królem Karolem osiągnięto następujące wyniki:

Król Karol zobowiązał się, że Rumunja nie przystąpi do paktu wzajemnej pomocy, który, w porozumieniu z Jugosławją, odrzuciła podczas ostatniej konferencji Małej Ententy w Belgradzie.

Ażeby Rumunja nie uległa ewentualnemu przymusowi angażowania się we wzajemnej obronie, do czego jest zobowiązana w myśl par. 16 Paktu Ligi Narodów, pułkownik Beck zalecał, aby rozluźniła możliwie najbardziej węzły, łączące ją z instytucją genewską.

Strona wojskowa sojuszu polsko - rumuńskiego będzie wzmocniona. Marszałek Rydz - Śmigły przeprowadzi na ten temat rozmowy z królem Karolem naprzód w Bukareszcie, potem w Warszawie.

Ustalono, że żadne z państw nie podejmie jakiejkolwiek akcji względem Sowietów bez uprzedniego porozumienia.

Uznano potrzebę jak najszybszego zawarcia paktu rumuńsko - włoskiego.

Należy znaleźć zapomocą paktów bilateralnych *modus vivendi* pomiędzy Rumunją a Węgrami, w której to sprawie Polska jest gotowa ofiarować swoje pośrednictwo".

Le Temps przytacza syntezę głosów niemieckich:

„Wystarczy rzut oka na dzienniki niemieckie, aby sobie zdać sprawę z wielkiego zadowolenia, jakie przejawiają berlińskie koła polityczne z powodu wizyty pułkownika Becka w Bukareszcie.

Jest zrozumiałem samo przez się, że wszelka polityka, która, bez względu na to, czy idzie z Rzymu, czy z Warszawy, dąży do osłabienia Małej Ententy i do izolowania Czechosłowacji, uzyskuje w Berlinie o tyle żywszą aprobatę, że dyplomacja niemiecka może się sama trzymać starannie na uboczu i zadowalać się wyciąganiem zysków z inicjatywy swych przyjaciół. Nie można bowiem zaprzeczyć, że to właśnie Niemcy uzyskały dotychczas najwięcej korzyści z działań politycznych tak p. Becka, jak p. Mussoliniego. Oczekuje się również w Berlinie, słusznie czy niesłusznie, że i Rumunja prędzej czy później pójdzie za przykładem Jugosławji".

Tembardziej nie jest bez znaczenia ważki głos *L'Ère Nouvelle*, organu, jak wiadomo, p. Herriota i... Daladier'a, który wyniki podróży bukareszteńskiej p. Becka poddaje bardzo krytycznej analizie:

„Informacje Ajencji Sud-Est są conajmniej zadziwiające. Oświadczmy zresztą na wstępie, że o ile o nas chodzi, aż do uzyskania bardziej szczegółowych wiadomości, odmawiamy im na razie kredytu zaufania".

W komentarzu do pierwszego punktu publikacji Ajencji czytamy:

„Cóż to miałoby oznaczać? Nic innego, jak tylko to, że pułkownik Beck, minister spraw zagranicznych Polski, pracuje nad rozluźnieniem Małej Ententy, i że król Karol nietylko się na tę pracę zgadza, ale nawet sam będzie głównym wykonawcą? Wzdragamy się przed przyjęciem podobnej hipotezy, której, co więcej, sprzeciwiają się poprzednie oświadczenia króla. Ale komunikat ma ciąg dalszy, którego treść jest równie zastanawiająca.

Ponieważ Rumunja mogłaby ewentualnie być zmuszoną do zaangażowania się we wzajemnej pomocy w myśl par. 16 Paktu, płk. Beck — czytamy — radzi Rumunji „jaknajbardziej rozluźnić węzły, łączące ją z instytucją genewską".

A więc Polska i Rumunja nagle stałyby się przeciwniczkami instytucji genewskiej, paktu narodów, zbiorowego bezpieczeństwa, polityki pomocy, tego wszystkiego, co stanowi gwarancję powszechnego pokoju! To jest bardziej niż nieprawdopodobne!"

A punkt o Sowietach i o sojuszu włosko-rumuńskim? O porozumieniu Rumunji z Węgrami?

„Wrogi stosunek do Rosji, umowy z Rzymem i Budapesztem — to przecież istota polityki Berlina i Rzymu, którejby Warszawa była wasalem, a Bukareszt nowozaciężnym!

Rzeczywiście odnosi się wrażenie, że czyta się romans, romans w którym niczego nie braknie, co więcej, w którym się dąży — wskazując na wzmocnienie sojuszu wojskowego polsko - rumuńskiego — do skompromitowania samego marszałka Rydza - Śmigłego, obwieszczając jednocześnie projekt jego bliskiej podróży do Bukaresztu.

Wszystko to jest nieprawdopodobne i perfidne. Ale wszystko to jest jednocześnie niebezpieczne. Jest rzeczą konieczną, ażeby bez żadnej zwłoki wyjaśniono bez pozostawiania wątpliwości, jak sprawa stoi naprawdę i co mówiono i postanowiono w Bukareszcie.

Zdaje nam się, że jest ktoś, kto się stara z machjawelską przewrotnością, skompromitować jednocześnie i Rumunję i Polskę. Jedna przyczyna więcej, aby sprawę postawić jasno.

Jakby to naprzykład mądrze postąpił p. Beck — skoro tak lubi podróżować — gdyby także wstąpił na chwilę do Pragi..."

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.